12 stron

Cena 8 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 31 marca 1946 r. | Nr 13 (70)

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

W Anglii i gdzie indziej

Londyn, w marcu 1946 r.

PLAGI EGIPSKIE

Bevin powiedział kiedyś, że zadaniem prasy jest bawić i oszukiwać czytelnika. Nie powiem jednak, żeby lektura prasy angielskiej była zawsze taka zabawna — potwierdzą to najlepiej opinie i fakty wyłowione przeze mnie w tej prasie.

Cztery „plagi egipskie" nawiedziły dzisiejszy Egipt: nędza, analfabetyzm, brud (brak wody) i słynna egipska choroba oczu, na którą cierpi 90% ludności.

W życiu politycznym państwa mało kto bierze udział. Wafd, który zbojkotował wybory i nie ma swoich przedstawicieli w parlamencie, oskarża rząd angielski o jawne intencje zepchnięcia Egiptu do rzędu krajów kolonialnych i żąda zupełnej niezależności. Przecież nacjonalistów pomija się systematycznie i nie zaprasza do udziału w rządzie. Obalony swego czasu przez Saadystów (109 miejsc w parlamencie) Sidky Pasza, były dyktator, jest obecnie premierem i ma przeprowadzić rokowania z Anglią. Oto co pisze „Times" na ten temat: „Obecny rząd nie jest ani demokratyczny, ani reprezentacyjny — nazwisko premiera Sidky, to dla ludności Egiptu symbol kapitalizmu i represyj".

Wafd boi się tego człowieka o zdecydowanych zapędach dyktatorskich, a uczucia jakimi go darzy ludność, zilustruje najlepiej krążący obecnie slogan: kat wrócił. Anglicy zdają sobie z tego sprawę i mówią o nim, że jest bardziej znienawidzony niż niepopularny. Jeżeli premier otrzymał większość głosów w parlamencie, to zawdzięcza to jedynie temu, że część głosujących wstrzymała się od głosowania i przyjęła postawę wyczekującą.

Drugim niezbyt szczęśliwym pociągnięciem polityki angielskiej były zmiany na stanowiskach w ambasadzie. Rząd angielski odwołał dotychczasowego ambasadora, który zawarł pakt z Egiptem, dziś już przez Egipt nie uznawany. Jego następca mówi wiele o dawnej zażyłej przyjaźni z obecnym premierem i ma w najbliższym czasie rozpocząć układy, żeby ratować sytuację. Tylko powtarzające się coraz częściej antyangielskie demonstracje w Egipcie, głównie młodzieży i robotników, przybrały niepokojące formy i bynajmniej nie stwarzają atmosfery sprzyjającej jakimkolwiek układom. Demonstranci podpalają żydowskie synagogi, katolickie kościoły, anglikańskie świątynie, kluby, hotele zamieszkałe przez Angilków, baraki dla wojska, auta pancerne i zwykłe ciężarówki wiozące wojsko, które ma „uspokoić" ludność. A ludność rzuca się na auta, wyciąga z nich żołnierzy, bije a potem auta podpala.

Rząd angielski, jak podaje prasa, oczywiście przeciwstawia się rozruchom a demonstranci robią swoje. Bo gdy się ogląda z bliska rzeczywistość — trudno sobie nawet wyobrazić krzywdzącą dysproporcję między zarobkami robotnika-tubylca, a robotnika obywatela angielskiego. Zarobek jednodniowy robotnika angielskiego odpowiada mniej więcej płacy za przepracowany miesiąc robotnika w Egipcie. Czas wreszcie skończyć z nędzą — mówią Egipcjanie i przypominają rządowi angielskiemu, że historia angielsko-egipska trwa nadto długo (z górą kilkadziesiąt lat), żeby można czekać cierpliwie.

Niewesołą sytuację Anglii komplikują jeszcze zobowiązania pieniężne, jakie zaciągnęła wobec Egiptu — dług w wysokości 400.000 funtów angielskich (mniej więcej połowa sumy przyznanej Anglii z takim hałasem przez Amerykę, tytułem pożyczki) Czy za te pieniądze nie można by uleczyć wielu ludzi z choroby oczu, podnieść poziom kulturalny kraju (szkoły), uzdrowić warunki higieniczne (woda) i rozbudować przemysł? Egipt proponuje Anglii tego rodzaju tranzakcję — przeliczenie długu na dolary: Niech Anglia należną Egiptowi kwotę spłaca Ameryce, która w zamian będzie mu przysyłała potrzebne maszyny (takie same zresztą słuszne pretensje wysuwają pod adresem Anglii i Indie — dług wynosi miliard trzysta milionów).

W Egipcie mówi się złośliwie z racji tego długu, że obecnie role się zmieniły — Anglia okupowała Egipt pod pretekstem wyegzekwowania długów, dziś Egipt powinien okupować Anglię. Ale są i optymiści, którzy twierdzą, że Anglia wyjdzie z tych tarapatów obronną ręką i jakoś sobie poradzi. Ciekawe tylko — jak? Zobaczymy!

„PERŁA ANGIELSKIEJ KORONY"

„Indiom grozi w tym roku głód — posucha na północy i południu kraju, nie wróży dobrych zbiorów" — tak brzmi lakoniczna notatka zamieszczona w jednym z dzienników angielskich. Ale w przemówieniu wicekróla Indyj do ludności hinduskiej padły słowa, których nie powinien był powiedzieć: „Cały świat odczuwa dzisiaj poważny brak żywności — Indie nie są jedynym krajem, któremu grozi głód i nie mogą liczyć na pomoc z zewnątrz".

To oświadczenie wicekróla jest cyniczne. Po pierwsze: stopa życiowa wielu państw „zagrożonych głodem" jest luksusem bogaczy odczuwających nieznaczne tylko braki, w porównaniu z nędzą Indyj. Po drugie, słowo „pomoc" jest tu co najmniej nie na miejscu — przecież Indie są tak bogatym krajem, że nie potrzebowałyby liczyć na pomoc z zewnątrz, gdyby podział dóbr był sprawiedliwy i gdyby żywność, jaką wysyłają do Indyj inne kraje w zamian za towary, docierała do właściwego źródła. Wicekról zaznaczył, że w związku z krytyczną sytuacją dotychczasowe przydziały żywności będą zmniejszone o 1/4. Równocześnie wezwał ludność do zachowania spokoju i radził nie wysuwać głodu jako atutu w walce politycznej. Ale zapomniał dodać, że reprezentuje kraj, w którym mimo tylu lat wojny nie ma żadnych ograniczeń na chleb (podczas gdy w Indiach głód jest zjawiskiem codziennym, wyniszczającym siły narodu), że reprezentuje kraj, który zaciągnął wobec Indyj dług w wysokości prawie półtora miliarda funtów angielskich. Obecna sytuacja żywnościowa Indyj grozi katastrofą głodową, groźniejszą od katastrofy głodowej Bengalu w 1943 r., w czasie której zginęło półtora miliona ludzi. Aby przetrzymać ten ciężki okres Indie potrzebowałyby około 7 milionów ton zboża (na razie dysponują zapasem zaledwie kilkunastu tysięcy ton).

Toteż fala strajków przebiega cały kraj i opanowuje coraz to nowe ośrodki. Władze angielskie muszą być wciąż czujne; w pociągach widzi się patrole żandarmerii, bo ludność podpala wagony i wysadza tory kolejowe. Ostatnio wybuchł strajk marynarzy. Admirał Godfrey oświadczył, że jeśli sytuacja się nie zmieni, nie zawaha się użyć siły i zniszczyć doszczętnie marynarkę wojenną Indyj.

Stan marynarki wojennej tego kraju (liczącego około pół miliarda ludności i posiadającego jedno z najdłuższych wybrzeży morskich) przedstawia się dość żałośnie, — największe ze spotykanych tu statków to szalupy w liczbie 100 z obsługą 30 000 ludzi. Wszystkie statki dostarczane są Indiom wprost z doków angielskich, bo nie przysługuje im prawo zbudowania nawet szalupy. Rozkazy wydawane są tylko w języku angielskim, nawet przez oficerów Hindusów. Stanowiska wyższych oficerów zajmują jedynie Anglicy (dotychczas tylko jeden Hindus został mianowany pułkownikiem). Tłumaczy się to tym, że od oficerów wymaga się wszechstronnego wykształcenia, długich gruntownych studiów — widocznie okres kilkudziesięciu lat okupacji angielskiej był za krótki na wyszkolenie kadr oficerów hinduskich.

Hopkin Morris, członek misji parlamentarnej, po swej ostatniej podróży do Indyj oświadczył, że ton prasy hinduskiej w czasie pobytu misji był wyraźnie krytyczny, o ile nie otwarcie wrogi. Już na pierwszej konferencji prasowej ze wszystkich przemówień przedstawicieli Indyj przebijało niezadowolenie panujące w kraju i brak wiary w szczerość intencji Anglii. Wszyscy Hindusi mimo rozbieżności poglądów politycznych są zgodni, jeśli chodzi o zupełną niepodległość. Jeden z korespondentów angielskich pisze: „nie wydaje mi się, żeby Hindusi mogli zapomnieć o tym, że każdy ich przywódca od Ghandiego począwszy, każdy uczciwie myślący patriota spędził lata w więzieniach angielskich i czuł razy spadające na jego plecy z rąk angielskich policjantów".

Rząd angielski jest wyraźnie zaniepokojony obecną sytuacją w Indiach — mówi się tu o wyjeździe w najbliższym czasie misji złożonej z trzech ministrów. Prasa angielska stwierdza jednak, że nastroje ludności hinduskiej nigdy nie były mniej sprzyjające pertraktacjom niż obecnie. Opinie są bardzo podzielone, jedni twierdzą, że trzeba będzie chyba dać Indiom niepodległość, bo zbrojna interwencja mogłaby drogo kosztować Anglię — inni widzą w wysłaniu misji o tak poważnym składzie podstęp ze strony Anglii. Gdyby misji angielskiej nie udało się dojść do porozumienia z przedstawicielami Indii, Anglia będzie mogła powiedzieć, że zrobiła wszystko, żeby sprawę załatwić po myśli ludności hinduskiej i jak najbardziej liberalnie

A przecież żądania Indii są bardzo skromne, ludzkie i zrozumiałe: niepodległość, nauka, reforma rolna i uprzemysłowienie kraju — prawo do życia, które przysługuje każdemu.

HISZPANIA

Syn Churchilla, Randolph Churchill, wrócił niedawno z Hiszpanii, gdzie przebywał jako korespondent z ramienia amerykańskiego koncernu prasowego. W prasie angielskiej ukazały się jego artykuły na temat rozmów, jakie przeprowadził z gen. Franco; artykuły te ciekawie naświetlają stosunki panujące obecnie w Hiszpanii.

Budżet ministerstwa wojny, który w 1940 r. obracał się w ramach pół miliarda pezetów, obecnie wzrósł do 5 i 1/2 miliarda. Sumy te jednak nie szły na wyposażenie armii w nowoczesny sprzęt wojenny, skoro stan ekwipunku lotnictwa, marynarki wojennej, czy armii lądowej przedstawia się wręcz smętnie. 260 samolotów starego typu, tyleż tanków, około 1/2 tuzina łodzi podwodnych i 3 krążowniki — oto całe uzbrojenie Hiszpanii. Ale za to są dowódcy — 4 admirałów, 3 wiceadmirałów, 15 generałów lotnictwa, ogółem armia hiszpańska liczy 150 generałów. Imponujące! Drugą ważną pozycję w budżecie stanowią wydatki związane z utrzymaniem szeroko rozbudowanego aparatu policyjnego, które przewyższają o wiele sumę, jaką dysponuje ministerstwo oświaty. Koszty utrzymania wojska, a raczej generałów i policji, pochłaniają połowę ogólnego budżetu państwa. To faworyzowanie policji i wojska nie jest bez ale — widocznie poparcie kleru i wzbogaconych przez regime przemysłowców nie jest dla gen. Franco wystarczające.

R. Churchill stwierdza ze zdziwieniem, że gen. Franco nie zrobił nic, aby wyprowadzić z nędzy ludność kraju, za którego losy wziął odpowiedzialność: „Nie widziałem kraju, poza Egiptem, gdzieby różnica między stopą życiową kapitalisty a robotnika była tak jaskrawa jak w Hiszpanii".

ANGLIA — AMERYKA

W czasie wojny Amerykanie produkowali małe auta „jeep". Dziś angielskie pisma zamieszczają fotografie zabawki, miniaturki „jeepu", opatrzonej w specjalny mechanizm, który ją wprawia w ruch i cieszą się, że ma duży popyt w Ameryce (cena 1 1/2 dolara za sztukę — Ameryka broniąc się przed konkurencją dobija do tej ceny dolara za cło). Eksport angielski przedstawia i poważniejsze pozycje, jak auta, rowery, książki, wyroby ze srebra itp. Anglia zyskała nowe rynki zbytu, dzięki nie istniejącej dziś konkurencji niemieckiej. Przed wojną w produkcji zabawek celowali przede wszystkim Niemcy, którzy tę gałąź przemysłu doprowadzili do perfekcji (dziś jeszcze zabawki wykonane przez niemieckich jeńców wojennych cieszą się w Anglii dużym powodzeniem). Obecnie świat żąda zabawek angielskich — są pomysłowe, nowocześnie pomyślane, no i „made in England" też coś znaczy.

Poza sprawami handlowymi stosunki amerykańsko-angielskie układają się nieszczególnie, w każdym razie nie po myśli Anglii. Jeśli w prasie amerykańskiej pisze się o Anglii, to przede wszystkim porusza się sprawy Grecji, Indonezji czy Indyj. Anglia ma dużo dobrej woli. Od czasu do czasu wysyła do Stanów Zjednoczonych swych najwybitniejszych przywódców, ale prasa angielska stwierdza potem z goryczą, że w dziennikach amerykańskich nie ma często o nich nawet wzmianki.

„Nasi amerykańscy przyjaciele" — pisze „New Statesman and Nation", — „okazują w swej sympatii dla nas więcej litości niż szacunku dla naszych wysiłków". Prasa angielska skarży się mętnie, że Ameryka nie postrzega wszystkich wysiłków, jakie robi Anglia, żeby wydźwignąć się znad przepaści, jakby Ameryka uważała je za daremne, i chciała usunąć ze swej drogi Anglię, uznając ją za partnera „nieuleczalnie chorego i z lekka nienormalnego".

MALAJSKI KAUCZUK

Prasa angielska rozpisuje się szeroko na temat eksploatacji kauczuku importowanego z półwyspu Malajskiego i dochodów, jakie ten surowiec może przynieść państwu. Cenę ustalono na 10 pensów angielskich za funt, z tym, że Ameryka płacić będzie tylko w dolarach. Sprawa kauczuku wywołała duże zainteresowanie i jest obecnie żywo dyskutowana. Niektórym cena wydaje się zbyt niska (dwa razy niższa niż przed wojną w stosunku do innych produktów).

Jasne, że sprawa warta jest dyskusji, skoro kauczuk był głównym źródłem dochodów Anglii — tak np. przed wojną, w okresie największego zapotrzebowania na kauczuk, surowiec ten przyniósł Anglii większe dochody, niż cała jej produkcja i wszystkie posiadłości razem wzięte. W zamian za kauczuk Ameryka ma dostarczyć Anglii żywności, bawełny, tytoniu, amerykańskich filmów.

Nikt tylko nie dyskutuje nad nędzą Malajczyków, prawowitych właścicieli i nad tym, żeby pamiętać o nich przy rozdziale żywności. O Malajczykach pisze się natomiast, że są niezdolni do wydajnej pracy, są osłabieni i wyniszczeni, wobec czego obciążanie ich pracą dłuższą niż 4 godziny dziennie byłoby bezcelowe.

Bogusław Kuczyński

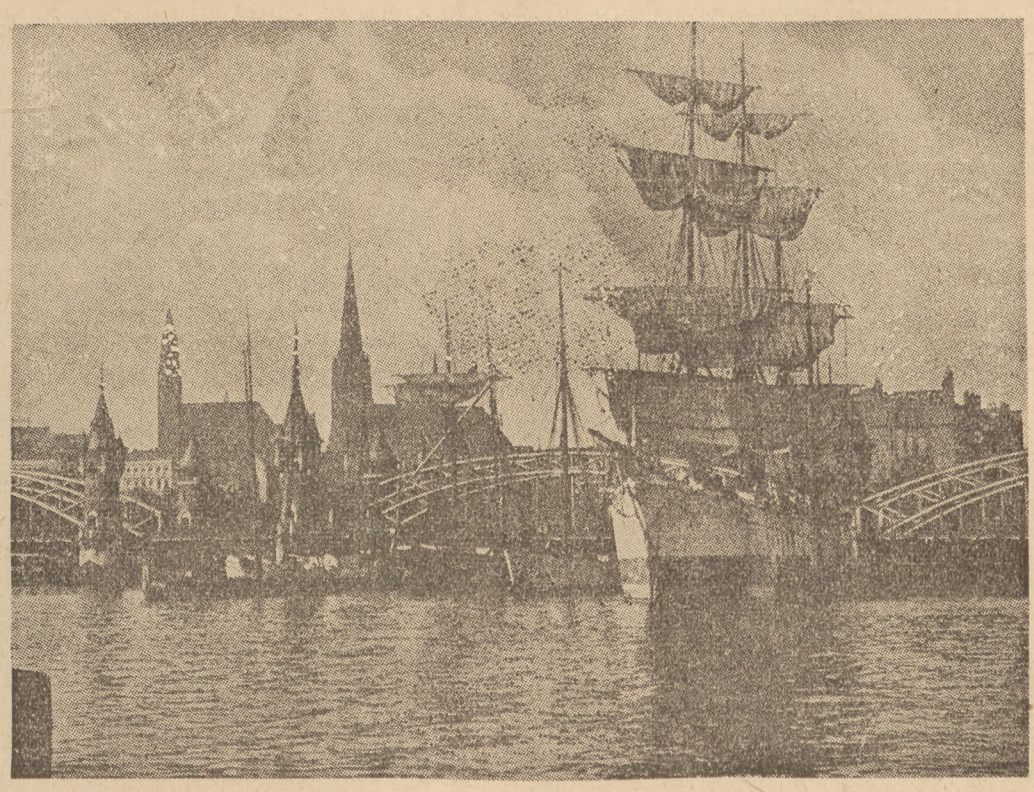

Widok portu w Szczecinie przed rokiem 1939.

KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

Jeszcze raz Churchill

Londyn, w marcu 1946 r.

Odgłosy mowy, którą wygłosił ekspremier Churchill w prowincjonalnej mieścinie stanu Missuri Fulton, świadczą, że mimo, iż oficjalna Anglia rządzona przez Partię Pracy nie solidaryzuje się z tym przemówieniem, mowa Churchilla poruszyła jak zawsze to, co jest najważniejsze.

Kiedy podczas Kongresu Wiedeńskiego umarł nagle rosyjski ambasador, Talleyrand stwierdził od razu, że musiał on mieć w tym jakiś cel. Taka sama atmosfera nieufności i wzajemnego podejrzewania się panuje obecnie na świecie w przejściowej epoce pomiędzy ustaniem działań drugiej wojny światowej, a rozpoczęciem konferencji pokojowej, która ma tę wojnę zakończyć. Dlatego choć wyrażone w fultońskiej mowie poglądy Churchilla są jedynie jego własnymi poglądami, niemniej jednak pożyteczną rzeczą jest przy okazji posłuchać, jak świat zareagował na słowa angielskiego polityka.

Najpozytywniej ustosunkowali się do tej mowy naturalnie Niemcy, jako ci, którzy nie mają już nic do stracenia i którym wszelkie mącenie w międzynarodowej kadzi podsuwa myśl o trzeciej wojnie pomiędzy sojusznikami, przez którą Niemcy mogłyby znowu się stać czynną siłą, wygrywaną przez obie strony.

„Observer" w artykule na temat mowy Churchilla — „Wskrzeszenie niemieckich nadziei na wojnę pomiędzy zwycięzcami" — opisuje, jak to po przemówieniu w Fulton każda rozmowa z Niemcem zaczyna się od Churchilla i na Churchillu się kończy i jak to pozornie apolityczny uniwersytet berliński robi obecnie wrażenie wiecu politycznego. Przypadkowy fakt, że z trzech wielkich wizerunków wystawionych koło Brandenburgertor portret Stalina został czasowo zdjęty dla wyremontowania, a jedynie portrety Trumana i Churchilla na razie tam figurują, komentowany jest przez publiczność berlińską jako efekt przemówienia churchillowskiego. Jak za panią matką pacierz, entuzjazm wojenny pobitych Niemców powtarzany jest przez propagandę innych niezadowolonych z rezultatów wojny ludzi, emigrantów spod znaku Michajłowicza, czy Andersa.

Londyński emigracyjny „Dziennik Polski" zamieszcza wprawdzie wstępny artykuł pod sensacyjnym tytułem „Sojusz anglo-amerykański dla ratowania pokoju?", ale zaraz w podtytule dodaje: „Moskwa milczy" i tonem swojej własnej odpowiedzi na postawione pytanie stwierdza, że jemu, „Dziennikowi Polskiemu", nie chodzi bynajmniej o uratowanie pokoju, ale właśnie o trzecią wojnę.

Lecz o co właściwie szło samemu Churchillowi? Oficjalnie na pewno o zapobieżenie wojnie, ale Churchill zbyt dobrze zna historię, ażeby nie wiedzieć, że prawie wszystkie wielkie wojny świata zaczynały się od prewencyjnych zabiegów przeciwko wojnie, a właściwie, mówiąc wyraźnie, w tym celu, ażeby wojna, jeżeli już koniecznie ma wybuchnąć, wybuchła w położeniu korzystnym dla tego, kto stara się jej wybuch zahamować i wzmocnić własny potencjał wojenny.

Rojalistyczny grecki dziennik „Vradyni" stwierdza też jako satelita churchillowskiej polityki: „Grecja obecnie uważać się może za wysuniętą placówkę brytyjską w ewentualnej wojnie przeciwko Rosji".

Ale cytowane odgłosy niemieckie, andersowskie i greckie to tylko jedna strona medalu, bardziej ciekawa jest reakcja demokratycznej opinii świata.

Francuska „Humanité" podkreśla, że churchillowski plan wychodzi jedynie na korzyść międzynarodowej reakcji, na której czele Churchill chciałby postawić Wielką Brytanię.

Włoski socjalistyczny „Avanti" nazywa przemówienie churchillowskie po prostu próbą ratowania angielskich kapitalistów.

I tutaj przechodzimy do drugiej najważniejszej tezy Churchilla, do związania Anglii z Ameryką, na razie w ścisłym sojuszu militarnym, a z czasem połączenia obu anglosaskich narodów w jeden organizm polityczny.

Reakcja przeciwko temu tak ze strony angielskiej, jak i amerykańskiej jest dwojaka; podkreśla się różnice racyj stanu obu narodów i uwydatnia ekonomiczną i społeczną ich rozbieżność.

„New Statesman and Nation" zaczyna od stwierdzenia, że Anglia nie chce zostać 49 stanem wśród stanów zjednoczonych Ameryki, a dalej zarzuca Churchillowi, że według jego planu musiałaby Anglia zrzec się samodzielnego rozwoju angielskiego socjalizmu na rzecz bezwolnego towarzyszenia Ameryce w jej drodze od kryzysu do kryzysu, na które skazuje ją nieokiełzany kapitalizm. W razie wojny zaś wyspy brytyjskie byłyby wysuniętą naprzód lotniczą bazą amerykańską, którą łatwo będzie unieszkodliwić kilku bombami atomowymi. Socjalistyczna „Tribune" stawia przy omawianiu mowy churchillowskiej jeszcze wyraźniej kropkę nad i. Cytując przemówienie Macgoverna w Izbie Gmin, równoczesne mniej więcej z mową Churchilla, ale zasadniczo tamtemu przeciwne, konkluduje w sprawie ściślejszego połączenia Anglii z Ameryką: „pomimo podobieństwa zwyczajów, języka i urządzeń państwowych, Partia Pracy uważa Stany Zjednoczone za stojące po drugiej stronie barykady, a względem Rosji Sowieckiej nie mieliśmy nigdy tego uczucia".

Tyle opinia angielska, ale o ileż wyraźniej przeciwstawia się temu związkowi, projektowanemu przez Churchilla, prasa amerykańska, i to pomimo, że mowa była wygłoszona w stanie Missuri, w ściślejszej ojczyźnie prezydenta Trumana i na pewno za jego wiedzą i poparciem. Nie trzeba jednak zapominać, że autorytet Trumana pozostał daleko w tyle za miarodajnością osądów Roosevelta dla opinii amerykańskiej.

„Chicago Sun" orzeka po mowie Churchilla, że „pójście za tym wielkim, ale ślepym arystokratą oznaczałoby najkrótszą drogę do upiornej nowej wojny".

„Herald Tribune" zapytuje, czy braterski wojskowy związek z Anglią oznaczać ma dla Ameryki żyrowanie angielskiej polityki w Grecji, na Bliskim Wschodzie, w Indiach lub na Malajach.

„Bostone Globe" nazywa propozycję Churchilla zaproszeniem Stanów Zjednoczonych do uczestniczenia w kłopotach upadającej angielskiej polityki kolonialnej.

Wreszcie „Detroit Free Press" odpowiada poniekąd na zarzut opinii angielskiej, że Churchill chce z Wielkiej Brytanii zrobić 49 stan amerykański twierdząc, że zupełnie czym innym jest anglo-amerykańska współpraca, a czym innym powtórne wchłonięcie Stanów Zjednoczonych jako ekskolonii angielskiej przez Imperium Brytyjskie. A senator Owen Prewster konkluduje, iż sojusz z Anglią będzie działał jako katalizator, który przyśpieszy wystąpienie reszty świata przeciwko Ameryce.

Dlatego robotniczy angielski „Daily Worker" zupełnie słusznie określa fultońską mowę Churchilla jako hasło do odnowienia „paktu antykomunistycznego", który jak wiadomo był jednym z najskuteczniejszych środków dla rozpalenia pożaru wszechświatowego.

Nasuwa się więc zupełnie logiczne pytanie: jaki wpływ może tego rodzaju stawianie kwestii pokoju, jak to czyni Churchill, mieć na dalszy rozwój OZN? Wprawdzie sam Churchill nie pozostawia tego pytania bez odpowiedzi i nie tylko nie pomija ponadnarodowej organizacji, ale przeciwnie, przez oddanie jej do dyspozycji lotnictwa bojowego, chce ją wzmocnić. Ale właściwie cała koncepcja churchillowska jest z gruntu przeciwna jakiejś organizacji, która by miała być silniejsza nie tylko od izolowanej przez jego plany Rosji, ale również od połączonych w jedną militarną siłę Anglosasów (jedynie oni mają być posiadaczami sekretu bomby atomowej). Naczelny organ rządzącej w Anglii Partii Pracy stwierdza, że o ile premier Atlee uważa ONZ za organ nadrzędny, o tyle p. Churchill chciałby, ażeby wmontowany w organizację sojusz anglo-amerykański stał się sam organem nadrzędnym międzynarodowej organizacji. Cała konstrukcja ONZ jest oparta na lojalnym współdziałaniu trzech mocarstw, które tylko wskutek solidarnego działania potrafiły zwyciężyć rozbójnicze narody, Niemców i Japończyków. Dlatego wszelkie bloki, a więc również blok anglo-amerykański, byłyby zaprzeczeniem Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Niemniej jednak wypowiedzenie mowy przez Churchilla było, może wbrew jego woli, rzeczą pożyteczną, bo wyjaśniło w niejednym sytuację światową w chwili, kiedy według określenia samego Churchilla „na zwycięstwo aliantów padł wielki cień".

Tylko że rozjaśnienie sytuacji wypadło zupełnie inaczej, niż to zamierzał Churchill. Socjalistyczna „Tribune", najpoważniejszy tygodnik labourzystów, pociesza ekspremiera, który wystąpił w roli Kasandry, słowami: „Nie da rady, panie Churchill".

Zacytujemy kilka najważniejszych ustępów tego artykułu: „Nikt nie może oskarżyć pana Churchilla, że nie wyłożył otwartych kart na stół, ale nie może być też najmniejszej wątpliwości, że są to jego własne karty, może karty konserwatywnego stronnictwa, odkryte tak hałaśliwie — w każdym razie nie są to karty angielskie, a już na pewno nie karty angielskiej Partii Pracy. Dlatego trzeba podkreślić, że nie tylko pan Churchill zaznaczył, iż przemawia we własnym imieniu. Odpowiedzialna za losy Anglii Partia Pracy musi również stwierdzić, że „droga Churchilla nie jest naszą drogą". Niestwierdzenie tego byłoby dla Anglii tak wielkim nieszczęściem, że większym mogłoby być chyba tylko wykonywanie churchillowskiej polityki. Znowu odżył widocznie dawny Churchill z 1919 i 1924 roku, który radośnie głosił świętą wojnę przeciwko „bolszewickiemu błazeństwu", Churchill, który zawsze był gotów przewodzić wyprawie krzyżowej w obronie świętego prawa własności, arystokratycznego przywileju i zdobyczy imperialistycznych. Obecnie wyszła na jaw cała jego hipokryzja. Nie możemy czuć nic prócz pogardy dla człowieka, który obecnie przelewa łzy krokodyle nad tym, że rząd polski pozwala sobie na olbrzymie i niesprawiedliwe aneksje terytoriów niemieckich, kiedy to on właśnie, w Teheranie i w Jałcie wznosił toasty na cześć tych wyczynów rosyjską wódką!"

Z tego cytatu z „Tribune" widać jednak, że jeżeli chodzi o słuszną i sprawiedliwą sprawę naszych granic zachodnich, które uzyskaliśmy dzięki radzieckiej pomocy, stanowisko Churchilla i stanowisko Partii Pracy jest równie niekonsekwentne. Widocznie stawianie kropki nad i przez Churchilla nie wyleczyło i pana Bevina ze wszystkich błędów churchillowskiej polityki zagranicznej. W każdym razie konsekwentne podkreślanie jej przez samego Churchilla powinno niejednemu otworzyć oczy, że granica polska na Odrze i Nysie, to przede wszystkim najważniejsza rękojmia słabości Niemiec, a więc pokoju świata.

Ale wróćmy do dalszych rozważań „Tribune" nad mową Churchilla. Mówiąc o propozycji Churchilla wzmocnienia anglo-amerykańskiego sojuszu, „Tribune" zupełnie słusznie stwierdza, że „tutaj Churchill zmienił swoje stanowisko gruntownie. Obecnie rozumie on jasno, że Anglia nie jest już szańcem obronnym warstw uprzywilejowanych. Dlatego zrzeka się on samodzielności angielskiej na rzecz Ameryki, ofiarowując Anglii miejsce młodszego partnera w wielkiej kapitalistycznej spółce anglo-amerykańskiej z ogr. odp., która ma zastraszyć Rosję Sowiecką, a równocześnie zdusić wewnątrz Anglii wszelkie próby budowania socjalizmu. W ten sposób Churchill może służyć ideałom swej konserwatywnej partii, to znaczy imperializmowi na zewnątrz, a przywilejowi wewnątrz Wielkiej Brytanii.

Naturalnie chcemy mieć jak najlepsze stosunki pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi, ale dobre stosunki i kulturalne pokrewieństwo nie oznaczają bynajmniej tego samego, co przymierze wojskowe skierowane przeciwko Związkowi Sowieckiemu, które proponuje nam pan Churchill i za które gotów jest zapłacić wszelką cenę".

Odpowiedzialna więc za rządy w Anglii Partia Pracy bynajmniej nie solidaryzuje się z defetyzmem Churchilla. Tak nazywa obecną jego postawę polityczną tygodnik „New Statesman and Nation". Jest to może najwłaściwsze jej określenie.

Podczas wojny największym niebezpieczeństwem jest defetystyczna niewiara w zwycięstwo. Obecnie, kiedy cały świat zmęczony sześcioletnią wojną walczy o pokój, który musi zatryumfować, jeżeli ludzkość nie ma zginąć, wszelka niewiara w pokój jest największą zbrodnią przeciwko ludzkości.

Wyraźne stwierdzenie przez takiego polityka jak Churchill, że pokój jest zagrożony, może być uważane za defetyzm, ale sposób przyjęcia tego defetystycznego przemówienia przez całą opinię demokratyczną świata jest dowodem, że z wyjątkiem Niemców i topniejącej ciągle garstki faszystowskich emigrantów, nikt nie życzy sobie trzeciej wojny, do której mogą doprowadzić przede wszystkim, jak to już wiele razy w historii bywało, różnego rodzaju „tylko obronne" sojusze prewencyjne, takie właśnie jak ten, który proponuje Churchill.

Krzysztof Radziwiłł

MŁODZI POECI

ZBIGNIEW STOLAREK

Erotyk

Tu miasta można nie słyszeć
— senny Sekwany jest oddech;
księżyc miasto wymienił na ciszę
...Takie noce wczoraj jeszcze groziły nalotem.

Jesteśmy (woda, trawniki, romantyczne tło);
jakby „wczoraj" się stało zwykłą pustą kartą.
Lecz oto spojrzenie twoje ciężko wyrusza jak czołg
— pamięci tamtego czasu usta nie wygładzą.

Jesteśmy na granicy; nowych dni nam trzeba się uczyć na pamięć.
Przeszłość kołuje jak patrol za mgłą.
Nam trzeba iść na kierunek, bo gdy się zbłąkamy,
nie wrócimy już nigdy na żadnych dni front.

Słyszysz? Czas nas wymija, a my ciągle we wrześniu,
choć jest już cisza i noc w Sekwanie krwawe błyski topi.
— Spójrz inaczaj; oczu jak nad lufą nie mruż,
musisz droga nauczyć się innego wzroku.

KLEMENS OLEKSIK

Na posterunku

W list mój ostatni skręcę szczyptę tytoniu
odkrytego w zakamarkach żołnierskiego płaszcza.
Zaciągnę się naszym domem. Firanki odsłonisz,
będziesz szukać księżyca: On na nasz bój patrzał.

Pomyślisz: Gwiazda spadła — spełni się marzenie
nasze. O tak. Zanim gwiazda o ziemię uderzy,
nawiedzi cię myśl moja jak list. Pozdrowieniem
da ci znać: Tu leżę — — —

Kto ci pamiątki przyśle? Skarb ostatni
karabin — inne ręce upieszczą, przytulą.
I gdy wiosna na grobie rozsieje sasanki,
wiedz: z mego karabinu zmartwychwstanę kulą.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

Już nie umiesz

Cóż ci opowiem w zachmurzonym mieście,
w niczym nieuchwytna?
Czy pokłon poety może upieścić,
gdy brak łanów żyta?

Jakże dłoń ma głaskać włosy
bez promieni i wiatru?
Można miasto strzechami chmur poszyć
i okna zatkać.

Cóż ciało młode, gdy wybłyśnie
samym gorącem.
Gdyby tak sięgać jak po wiśnie,
wiśnie na trawnik strącać.

Ty byś tak chciała. Już nie umiesz
dłoni-gałązek.
Aby szumiały jak chorągiew w tłumie,
jak procesja wstążek.

Cóż nam powiedzą milczące sady,
zamarzłe ócz krople.
Na chmury ręce, jak kosy opadły, —
czy siano to kopne?

JÓZEF KAMIONKA

Wspomnienie

Kto powiew okrąży zielenią?
Skupiłem wolę,
by ten zagajnik brzóz poderwać z kolan,
by oddać cię westchnieniu,
lżejszą o grudkę pola,
jaśniejszą o wczorajszy uśmiech, o perłę.

Cała
z liści niewiernych, które zszywał ptak,
z gałęzi wyniłych z wierzby, z berła,
ze spojrzeń przeźroczystszych od powietrza —
Jakbyś na nitce prowadziła pałac
aleją od własnego cienia lżejsza
sprzeniewierzona przezeń
bieglejsza o dłonie...

Na fotografii bliżej do twych kolan;
płoniesz
w eksplozjach minionej magnezji.

ARTUR SANDAUER

Sprawa godności

Cóż prostszego, niż być zabitym? Dr Winter, były sędzia okręgowy i oficer rezerwy, lubił rozwiązania legalne i jasne. Tylekroć wydawał wyroki; cóż dziwnego, że z kolei i on miał im ulec? Samej jednak procedurze tego, miesiące już trwającego, procesu brakło należytej powagi i zarówno wykonawcy jak świadkowie i ofiary nie odnosili się doń z wymaganą w takich chwilach godnością. Na ustach Niemców, gdy odwiedzali gmach Rady, igrał pobłażliwy uśmieszek. Zachodzili czasem do mroźnego biura ewidencji, gdzie urzędował dr Winter i klepiąc wyprężonego na baczność po ramieniu wyrażali uznanie dla jego niezmordowanej pracy nad kartotekami: „Arbeiten Sie nur fleissig! Das macht gut!" Zachowanie ich, wyzbyte wszelkiej wrogości, wyrażało tylko przyjazną ironię; nie brali go po prostu na serio: Ten sam dwuznaczny stosunek drażnił dr Wintera, gdy stykał się z ludźmi z zewnątrz.

Wychodził bowiem niekiedy na miasto obłuczony zegarkami, dolarami i złotem, które mu — jako posiadaczowi jednej z niewielu przepustek, pozwalających przekroczyć druty — dawano na sprzedaż. Kiedy z białą opaską na ramieniu, którą na próżno starał się ukryć, strząsając śnieg z przydrożnych drzew na rękaw, przemknąwszy się bocznymi ulicami, wpadał nareszcie do jubilerskiego sklepu, właściciel i czeladnicy, iskrzący się od świeżo nabytych pierścionków, świeżo ogoleni, z kantami spodni tak ostrymi, jakby nimi się właśnie golili, rzucali na wyplamione palto i zaniedbaną fizjonomię spojrzenie taksujące i nieco zażenowane. Targując się o cenę przyniesionych kosztowności mówili: „Poco się pan tak upiera? Przecież..." i nie kończyli przez delikatność, lecz tylko mrugali do siebie porozumiewawczo. Dr Winter wił się pod ich bagatelizującym wzrokiem. Śmierć — myślał — jest rekapitulacją i oceną życia. Czemuż musiał umierać w tej podejrzanej atmosferze chichotów, poklepywań, groteskowych podrygów? Dlaczego ostatnim gestem miało być klaśnięcie opadającego w błoto ciała? Był oficerem rezerwy, czytał Szekspira i Mickiewicza, kochał kobiety, marzył o wielkości — i to wszystko miało się uwieńczyć koziołkiem w grząskiej jamie? Jaką przybrać postawę, o co się oprzeć? Chłopcy, gdy go widzieli przesuwającego się pod murami kamienic, rzucali weń grudami błota lub śniegiem — nie z nienawiści bynajmniej, lecz z tej normalnej ludzkiej skłonności, która każe popychać to, co i tak upada i śmiać się do rozpuku z fantastycznej gonitwy przechodnia za porwanym przez wiatr kapeluszem. Cóż jednak począć miał dr Winter? Jak zareagować z godnością? Ciskać również błotem? Gonić? Co więcej, w nim samym — dawniej tak ufnym — zalągł się robak podejrzliwości. Każde „o! patrz!", każdy głośny śmiech zasłyszany na ulicy odnosił do siebie; czuł się celem każdego — przypadkiem nawet ciśniętego — kamyka. Ta nieufność, wywołana przez poprzednie wypadki, z kolei wywoływała nowe: napada się bowiem na tego, który napaści oczekuje. Było to błędne koło psychiczne, poza które nie mógł się już wydostać.

Bardziej jednak sromotne niż handel zegarkami i — rzeczywiste lub domyślne — napaści urwisów, były widzenia ze znajomymi. Dr Winter spotykał podczas swych wypraw dawne towarzyszki wieczorów kawiarnianych lub partyj bridge'a. Migały ulicą, różowe od mrozu, z twarzami wychylonymi z kielichów futer, uśmiechnięte, rozradowane sanną lub proszoną herbatką. Na widok dr Wintera poważniały nagle, przygryzały wargi; niektóre były dość taktowne, by odwrócić głowę. Ale inne — o zgrozo! — ostentacyjnie podchodziły, wyciągały nawet rękę. Ze spojrzeniem trochę nieobecnym, śpiesząc się z lekka, zagadywały co słychać i jakie ma zamiary. I umykały czym prędzej, jakby wstydząc się swych futer i czekającej je zabawy, dobrego wyglądu i szminki na wargach, gdy on...

Gdy on, bardziej skulony po takim spotkaniu i osypując jeszcze raz z przydrożnego drzewa okiście śniegu na rękaw, kierował się powoli ku drutom. Miasto stało w mrozie i we mgle; w oddali dzwoniły sanki. Dalej, w odległości 2000 km., biły armaty, szarżowały czołgi, ludzie padali, uciekali, szli naprzód Tutaj — stały nieskończone ogonki za ćwiartką chleba, opodal, owinięte w papier, leżały trupy pomarzłych lub pomarłych z głodu. Czasem rozlegało się podobne szczekanie psa i również niezauważone — wycie konającego.

Dr Winter, przekroczywszy bramę, nie skierował się do domu. Od miesiąca, odkąd żona zginęła, komórka, którą wraz z nią poprzednio zajmował, była nieopalona i pusta. Tę swoją — jak ją ochrzcił — Syberię odwiedzał tylko w godzinach rannych, kiedy po bezsennej, spędzonej na spacerze lub grze w szachy, nocy walił się w ubraniu na niezaścielany nigdy barłóg. Postanowił zajść do kolegi z lat szkolnych, eksprofesora gimnazjalnego, obecnie — podobnie jak i on — urzędnika. Dr Maurycy Kolski, któremu już rok temu zabrano żonę wraz z dziećmi, oszczędzając jedynie jego jako wysokiego dostojnika Rady, zdawał się zupełnie pogodzony z ich stratą. Dawniej, obarczony trojgiem osób, głodował. Dziś, gdy miał czterykroć mniej gąb do nakarmienia i tylekroć więcej rzeczy do sprzedania, jego stan materialny polepszył się szesnastokrotnie. Toteż spieniężał systematycznie co tydzień sukienkę córki lub ubranko syna, wskutek czego utył niepomiernie. Urząd, którego powadze zawdzięczał życie, obecnie — w miarę rosnącej w społeczeństwie anarchii — stawał się fikcją. Dla pozoru wpadał rano na godzinkę do biura, resztę dnia spędzając na ulicach i w cukierniach i myszkując, gdzieby znaleźć co lepsze ciastka i co korzystniejsze komunikaty. Wieczory poświęcał trzeciej namiętności, szachom, w czym mu dzielnie sekundował dr Winter. Właśnie dr Maurycy, wróciwszy z cukierni i nie zdjąwszy palta, lawirował w przejściu między stołem a łóżkiem, by wydobyć flaszkę z naftą z jednego kąta, lampę bez szkła z drugiego i rozgrzać nieco pod knotem zgrabiałe palce, gdy rozległo się stukanie do drzwi: dr Winter mimo zmienionych warunków — nie wyrzekł się kultury, a zwłaszcza jej drobnych nakazów.

Dr Maurycy odwrócił rozradowaną twarz od lampy.

— Wiesz? — rzeki, podbiegając do stojącego na progu i uderzając go po ramieniu — Ordżonikidze wzięte

— Pozwól mi wejść do środka i zatrzasnąć drzwi za sobą — odparł dr Winter. — I tak jest już dosyć zimno.

— Ordżonikidze wzięli! — powtórzył dr Maurycy, zacierając ręce z uciechy i z mrozu. — Zuchy! Czterdzieści kilometrów — od wczoraj. Jeżeli zachowają to tempo, to... poczekaj! — Dr Maurycy wyciągnął z jednej kieszeni notes, z drugiej mapkę, z innej ołówek i manipulując nimi ze zręcznością, świadczącą o dłuższej wprawie, oderwał pasek papieru, zmierzył odległość kartograficzną i pomnożył przez podziałkę. — Otóż, poczekaj! Od frontu jesteśmy oddaleni o jakie 1860 km. Za 46 i pół dnia, przyjmijmy dla zaokrąglenia za 47, powinni być tutaj. Ależ to się doskonale zgadza! — dr Maurycy przytknął palec do skroni mrużąc jedno oko. — Akuratnie na 22 lutego w południe. A właśnie jedna osoba, bardzo dobrze poinformowana, powiedziała mi, że wojna ma się wtedy skończyć. Bo — ciągnął sumując szybko drżącymi palcami — jeśli dodać początkowy i ostatni dzień tamtej wojny i pierwszy obecnej i pomnożyć to wszystko przez trzy, to... otrzymujemy cyfrę 22243, czyli — po uzupełnieniu kropek — 22. II. 43.

Po czym spojrzał tryumfalnie na przyjaciela i schował ołówek.

— A czemu zdobycie naszego miasta ma oznaczać koniec wojny — zapytał chmurnie dr Winter.

— Ach! Te niedorzeczne pytania! Ileż razy mam ci tłumaczyć, że — jeśli Niemcy cofną się aż tutaj — to automatycznie w kraju wybuchnie rewolucja. Naród nie wytrzyma...

— Słuchaj! Czy ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

— Przestań mi dokuczać głupimi pytaniami, słyszałeś? — dr Maurycy uderzył kułakiem o stół, aż stojąca na nim kopiasta misa z ziarnem podskoczyła, wysypując część zawartości na podłogę. — Wciąż myślisz, jakby drugiemu humor zepsuć. Zazdrościsz mi wiary, że przeżyję — wszystkiego, co mi zostało...

— Maurycy! — dr Winter ujął go za ramię. — Po co te złudzenia? Jesteśmy skazani, prawda? Umiejmyż umrzeć z godnością. Czyż ty nie dostrzegasz haniebności twego optymizmu, tych wszystkich wybiegów, szamotań, bezcelowej walki o życie? Kto ma odwagę zrezygnować, tego już nic nie może dotknąć: jest wolny. Każda iskierka optymizmu, każde źdźbło otuchy osłabia w nas tę decyzję.

Dr Maurycy spojrzał krągłymi, dobrodusznymi oczyma na przyjaciela. Grube jego wargi skrzywiły się.

— Po co ci to? — mruknął. — Po cóż ci ta decyzja, postawa? Żyj z dnia na dzień jak ja. Czemuż nie żyć nadzieją, póki można... Zrobimy lepiej partyjkę, chcesz? Szachy są pod łóżkiem. Wyciągnij i ustaw. Ja tymczasem narąbię szczapek na podpałkę...

Było już dobrze po północy, gdy dr Winter przegrawszy nieskończoną ilość partii wyszedł od Maurycego. Zza drutów dochodziły, dźwięczniejąc na mrozie, głosy chłopców śpiewających kolędę. Słychać było jak zabijają ręce o kożuchy. Skrzypnęły drzwi: to gospodarz wynosił po kieliszku na rozgrzewkę.

— Bóg stał się popularny na dwa tygodnie — pomyślał dr Winter. — Bohater przebojów religijnych. Gwiazdka, choinka, złocone aniołki u szczytu dzieciństwa. Nie, nie wypada mi — po tylu latach niewiary — nawracać się. Trzeba być w porządku wobec Pana Boga.

Dookoła niego ulice roiły się od niewidzialnej ciżby. Ciemność szurgała ostrożnymi krokami po gołoledzi, wzdrygała się od niespodzianych spotkań, dyszała szantażem. Dr Winter, który postanowił zajść do knajpy, chwytał mimochodem urywki rozmów, ułamki zdań, słowa obce sobie i różnorodne, zdziwione jakby swym nieoczekiwanym połączeniem.

Podniesiony, nadrabiający pewnością głos:

— Dokumenty, proszę!

Półgłosem:

— Ordżonikidze odbite... Niemcy ewakuowali Charków...

— Przyjechała lotna brygada SS...

— Nieprawda! To rozbite wojska cofają się przez miasto...

Szeptem:

— No, chodźże, chodź! Wszyscy współlokatorzy poszli na noc do pracy. Pokój jest wolny.

— Nie mogę... Muszę do domu... Mama czeka...

Przechodząc obok wpółoświetlonej, grząskiej sieni dr Winter słyszy cienki, dziecięcy jeszcze prawie głosik:

— Ona je chowa w poduszce. Widziałem przez okno, jak zaszywała...

Podniesiony, nadrabiający pewnością głos zagłusza inne:

— Czy pan sobie zdaje sprawę, co to znaczy — w tak ciężkich dla naszego społeczeństwa czasach — nie meldować się? Pan się uchyla od pracy przymusowej. Pan zrzuca cały ciężar na innych. W tej chwili mamy w spisach Rady 1200 mężczyzn w wieku roboczym. A Niemcy żądają od nas dziennie. wie pan ilu? 800. Dosłownie — 800. Każdy zameldowany musi 4 dni w tygodniu pracować. A za kogo? Za pana i za takich, jak pan, którzy uchylają się od spełnienia obowiązku A ilu was jest? Wedle powierzchownych obliczeń jest was, niemeldowanych, przynajmniej drugie tyle. I gdybyście się wszyscy zgłosili, to każdy szedłby tylko dwa razy w tygodniu na robotę, na ciężką bezpłatną rozbiórkę niemieckich baraków. Czy pan nie rozumie, co to jest obowiązek społeczny? Czy pan nie rozumie, że moralność zbiorowa każe nam nieść wspólnie ciężar w tej ciężkiej chwili?

— Mnie, panie milicjancie — przepraszam — panie doktorze, nie wolno pracować, bo ja mam naderwane wnętrzności z prawej strony — o tu! I muszę zarabiać, bo mam żonę i dwoje dzieci. Jak ja będę pracował cztery dni w tygodniu, to kto im da jeść? To ja bardzo proszę pana milicjanta tzn. pana doktora, żeby...

— A ja — pan myśli — nie mam żony i dwóch kuzynek na utrzymaniu? A mimo to pełnię służbę milicjancką codziennie od 8-ej rano do 8-ej wieczór. I pan mnie mówi, że pan ma rodzinę? A ja to nie mam rodziny, ha?

— No, jak pan doktór ma rodzinę i ja mam rodzinę, to wie pan doktór co? Ja panu doktorowi dam 500 złotych, a pan doktór mnie nie zamelduje i wszystko będzie w porządku. Wszyscy jesteśmy w tej samej biedzie, panie doktorze. Ja panu doktorowi, pan doktór mnie... No, dam 600 złotych.

— Panie, za co pan mnie bierze? Ja tu służbę pełnię, a pan mnie propozycje robi? A poza tym co to jest dzisiaj 600 złotych?

— Żebym tak żył, panie doktorze, że z całego serca bym dał więcej i jeszcze bym dołożył, jakbym miał. Przez cały dzień zarobiłem 800 złotych. No, dam te wszystkie pieniądze i niech nie będzie ani na pana doktora ani na moje...

Reszta rozmowy ginie w pobliskiej sieni, dokąd udają się obaj kontrahenci celem uściślenia transakcji.

Znowu szept:

— Głupia! Czego się upierasz? Nie dziś, to jutro skoczysz do jamy. Co ci zależy?

— Ale u ciebie brudno. I wszy są. I to nieprawda, że wszyscy poszli do pracy, bo ten z górnego łóżka, co choruje na tyfus, nie może się przecież ruszyć.

— Ojejej, ważna sprawa. Chybaż on wie, co się z nim dzieje? 40 stopni i trzynasty dzień gorączki. Wciąż mówi, że Hitler zamianował go zastępcą i kazał mu legiony zorganizować. No, chodź, chodź.

Kroki się oddalają.

Szept z sieni:

— Po co jej, starej skąpicy, tyle dolarów? Byleby dla Niemców chować...

— Ja mam klucz z jej mieszkania. Raz byłem u niej z babcią i wyciągnąłem dla kawału. A teraz się przyda...

— Ordżonikidze odbite... Roosevelt powiedział, że nie pozwoli... Papież zwrócił się do Goebbelsa, żeby... Junacy kopią jamę pod Radłowicami...

Rozstawiając szeroko nogi, by nie pośliznąć się, dr Winter przesuwał się niezauważony wśród tysiącznych interesów tej nocy, kuszony przez wyłaniające się wciąż z jej głębi propozycje niewiarygodnych przygód i ocaleń. Każda boczna uliczka, każda sień wciągała w jakieś swoje konszachty, przed którymi bronił się, ściskając się i opancerzając wewnętrznie. „Obojętność.... godność... stoicyzm — powtarzał mentalnie. — Nie chcę... nie będę... Trzeba zachować postawę w tym kłębowisku".

— Panie doktorze — ktoś zziajany i pośpieszny wpadł mu prosto w objęcia i na wszelki wypadek zatytułował. — Ach, to pan doktor Menkes. Mam do pana ważny, bardzo ważny interes. Jest okazja — u chłopa — na przedmieściu — pokój zamurowany — wejście przez strych — na cztery osoby — po tysiąc złotych. Ja z żoną i córką i pan doktor. Pan doktor by pokrył koszta. To przecież dla pana doktora nie jest pieniądz. Ja z czystej przyjaźni dla pana doktora — od razu o panu myślałem.

— Ależ ja nie jestem dr Menkes, tylko Winter — odparł tamten sucho, rozpoznając w spotkanym stałego bywalca swego biura, człowieka wiecznie zaaferowanego i tajemniczego, który go bezustannie molestował swoimi sprawami.

— Ach, to pan doktor. Ja bardzo a bardzo przepraszam. Nie poznałem w tej ciemności. Ale to nic nie szkodzi. Ja się panu przyznam, że ja właśnie pana doktora miałem na myśli i tylko tak sobie powiedziałem, bo myślałem, że to dr Menkes. Jakby pan doktor mógł od razu wyłożyć pieniądze, to ja bym pana doktora jeszcze dziś tam zaprowadził i sam wziąłbym żonę i dziecko. Trzeba się śpieszyć. Mówią, że coś jest niedobrze...

— Ale ja nie mam ty... — zaczął dr Winter i urwał. Zdobycie pieniędzy nie było w końcu — po tym co widział i słyszał — niemożliwością. Uświadomił sobie nagle, że poprzednia dobrowolna rezygnacja z życia wynikała tylko z niewiary w zachowanie go. Teraz, gdy otwarła się przed nim furtka ocalenia, zabrakło mu odwagi, by ją zatrzasnąć. Wbrew swej lepszej wiedzy zmusił się do ufności dla człowieka, którego nigdy przedtem nie traktował poważnie. — Wie pan — rzekł nagle poufnym tonem — umówmy się na godzinę.

— Dobrze, panie doktorze, doskonale, panie doktorze. Godzina trzecia, punkt — wypalił tamten i ruszył z kopyta. Dr Winter usłyszał po chwili za sobą jego głos:

— Przepraszam, czy to nie pan dr Menkes?...

Obudzone na nowo pragnienie życia pchało dr Wintera ku czynom. Ale jakim? Którą drogę wybrać? Dlaczego na przykład nie wziąć pierwszej wyłonionej z ciemności dziewczyny pod ramię? Dlaczego właściwie nie zająć się szantażem?

Próbował na chybił - trafił okrzyknąć prześlizgującego się pod murami przechodnia:

— Dokumenty, proszę!

Lecz głos jego zabrzmiał — widocznie — słabo i nieprzekonywająco: ponocny wędrowiec nie dosłyszawszy lub udając, że nie dosłyszy i nie odwróciwszy nawet głowy, kontynuował swą przechadzkę.

— Czemuż to od dzieciństwa nie ćwiczyłem się w tej sztuce? — mruknął do siebie dr Winter z żalem. — Miałbym teraz wprawę... Niepoprawna uczciwość mojej natury

Z WYSTAWY POŚMIERTNEJ

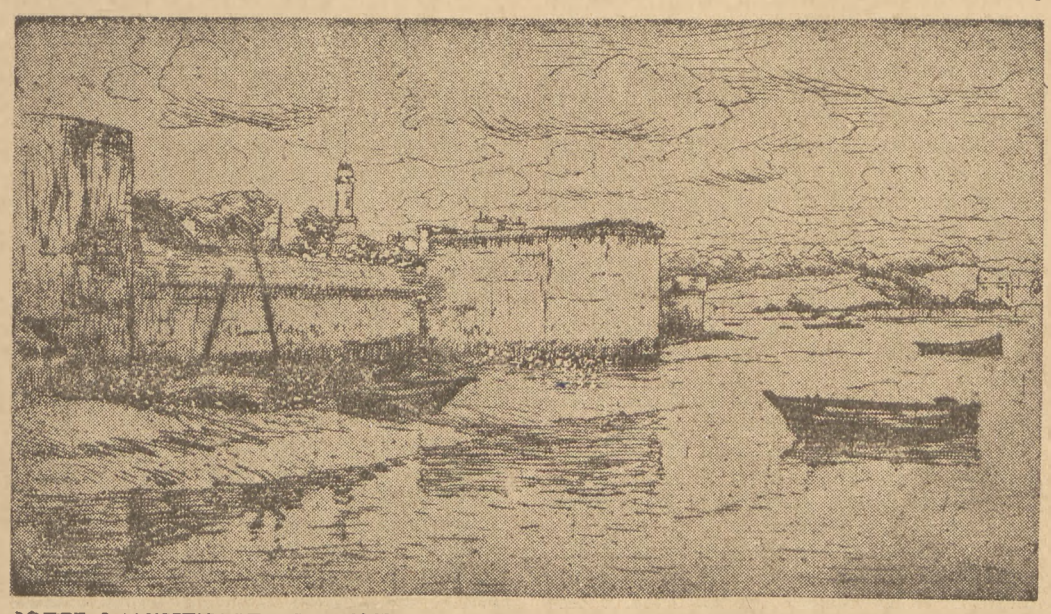

JÓZEF PANKIEWICZ (1866—1941) „Les Remparts de la Ville à Cancarneau" akwaforta

stłumiła mi głos i zdusiła w zarodku tę delikatną próbę, ten niejako pierwszy nieśmiały pączek szantażu. Cóż dalej?

Po chwili namysłu zawrócił ku na pół oświetlonej bramie, gdzie wciąż jeszcze stali dwaj uczniowie, pochyleni ku sobie, z miną nader zaaferowaną. Rozczochrani i zamorusani w wytartych szynelach, mogli liczyć najwyżej po 15 lat. Dr Winter znał obydwu; w okresie, gdy aplikował jeszcze w sądzie, udzielał im nawet korepetycji. Wpraszać się teraz do ich towarzystwa — było dlań nad wyraz nieporęcznie. Toteż słowa jego:

— O czym właściwie mówicie?

uderzyły — wbrew jego woli — w dawny ton profesorski. Pochylone ku sobie w niewinnym geście dziecięcej zmowy twarze odstrychnęły się, zalane rumieńcem. Chłopcy wzdrygnęli się, stropieni tym bardziej, że mieli przed sobą — bądź co bądź — przedstawiciela ładu i porządku. Nie przeczuwali, że stróż praworządności zdradził tymczasem, że psychicznie przeszedł już na ich stronę.

— My nic, panie sędzio, my tylko tak...

— Nie wykręcaj się, Zygmuncie — rzekł dr Winter nabytym w ciągu praktyki zawodowej surowym tonem sędziego. — Nie oszukasz mnie. Przed chwilą mówiliście o dolarach babci Eitlowej z ulicy Kinela.

— Jak babcię kocham — zawołał, uderzając się w piersi, młodszy z niedoszłych opryszków — żeśmy nie chcieli nic złego zrobić babci Eitlowej. Ja panu doktorowi wytłumaczę... niech pan doktor wysłucha... ja panu doktorowi coś pokażę... i pan doktor zrozumie...

— Co ty pleciesz? Cóż ty właściwie chcesz mi pokazać? — rzekł dr Winter zirytowany mimowolną rolą indagatora.

— Myśmy nie chcieli babci Eitlowej... Tylko nam pieniędzy potrzeba... bo my mamy jeden karabin...

— Co to wszystko znaczy, do stu... — zawołał dr Winter tracąc panowanie nad sobą.

— Nam bardzo pieniędzy potrzeba, bo my chcemy do partyzantki, a babci one się na nic nie zdadzą, tylko Niemcy się nimi nad jamą nakarmią, więc myśmy chcieli ją — podbródek malca zatrząsł się — obrabować.

— Więc wy do partyzantki się wybieracie? — zapytał spokojniej już dr Winter.

— Tak jest, do lasu, panie sędzio — odparł pośpiesznie starszy z obydwu, Zygmunt. — W Karpatach jest oddział, sami nasi koledzy. Dzisiaj przyszedł goniec, abyśmy doszlusowali do nich — co najmniej z dwoma karabinami, bo inaczej nie przyjmą. A my mamy tylko jeden — z 39 roku. Dla Witka trzeba by jeszcze jednej sztuki. A tutaj jest taki, co chce sprzedać bolszewicki automat z nabojami za 2.000 złotych. I dlatego chcieliśmy zrobić ten sztos — to znaczy skok — objaśnił rzeczowo. — Bo babcia Eitlowa zginie tak czy tak, z pieniądzami i bez.

— Ach, tak! Pokaż-że no ten karabin.

Dr Winter, w którym obudziła się żyłka oficerska, odczuł nieprzepartą chęć dotknięcia nieoglądanej dawno broni. Podniósłszy skobel u drzwi, wszedł do izdebki, którą — po utracie rodziców — wspólnie zajmowali. W łóżku, zaścielonym bardzo starannie, owinięty w koc i nakryty pierzyną spał cicho karabin. Zygmunt, zdjąwszy kaganek ze ściany, oświetlił go z uwagą i nabożeństwem jak trupa.

— To on! — szepnął. — Nienabity.

Wymotawszy z obwijaków dr Winter przycisnął go do piersi, przymrużył oko, nacisnął cyngiel. Po czym z największą czułością opatulił go znowu i wsunął pod pierzynę.

— Kogo chcecie nim zastrzelić? — zapytał. — Babcię Eitlową?

— Nie, ale można ją nastraszyć, bo po dobremu pieniędzy nie da. A jej przecie ich nie trza. Do lasu nie pójdzie.

— A ileż kosztuje tamten karabin?

— Dwa tysiące.

— A czy jest tutaj czy w mieście?

— Tutaj.

Taką właśnie sumą dr Winter rozporządzał. Nabywszy karabin mógł przyłączyć się do eskapady chłopców; mógł też — w razie czego — sprzedać drogo swe życie. Ta nowa, bardziej realna koncepcja zatarła w jego pamięci właściwy cel wizyty.

— No, więc chodźmy.

— Pan doktor chce kupić karabin? Jak to dobrze! Moglibyśmy w trzech pójść z dwiema sztukami. Nie będą chyba tacy dokładni. Trzeba się śpieszyć. Ludzie przeczuwają coś niedobrego. Nikt się nie położył spać tej nocy... Junacy kopali wczoraj jamę w Radłowicach...

Wyszli w wirującą ciemność, zagęszczoną jeszcze przez świeżo opadłą mgłę. Droga była śliska, pełna zamarzłych śladów po wylanej z wiader wodzie, które znaczyły bliskość jedynej w dzielnicy studni.

Nie uszli dziesięciu kroków, gdy idący przodem Zygmunt, pośliznąwszy się, zahaczył głową o coś twardego. Z ciemności wytrysnął błysk latarki i gniewny głos:

— Szczo ce u didka take?

Dr Winter stanął jak wryty: ukraińska policja! Tego jeszcze brakowało! Zygmunt padając trafił prawdopodobnie jednego z nich w słabiznę: zderzenie równie nieprzyzwoite, jak niebezpieczne.

— Czoho wy po noczi łazyte?

— Ja maju nocnu przepustku.

Dr Winter usiłował, posługując się nieznanym sobie językiem, obłaskawić policjantów.

— Ja tobi pokażu nocnu przepustku.

Z WYSTAWY POŚMIERTNEJ

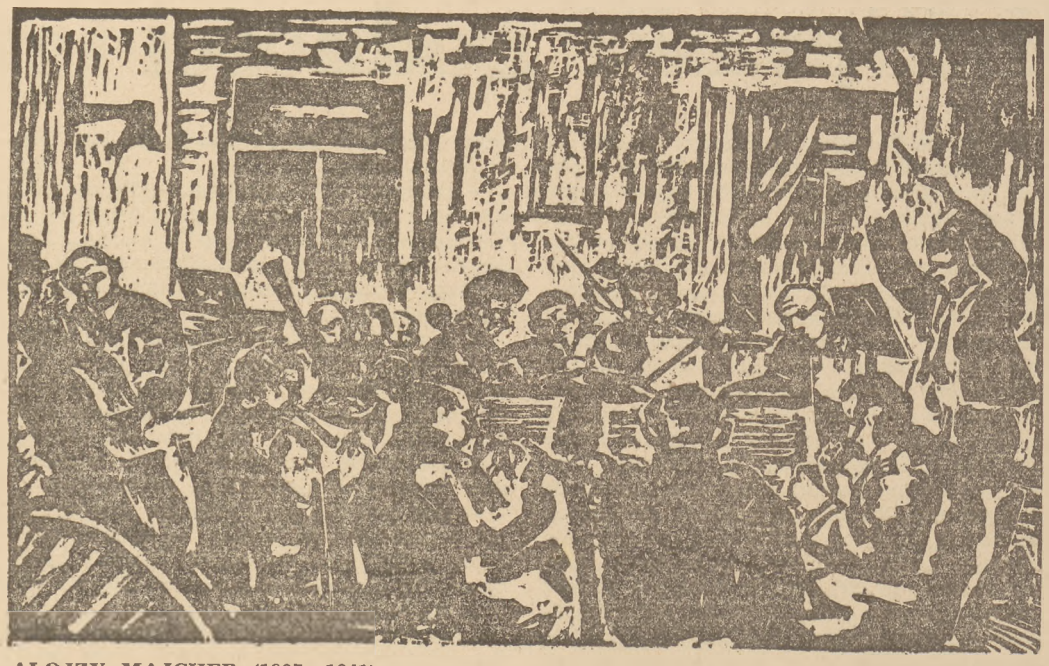

ALOJZY MAJCHER (1907—1941) **Orkiestra** drzeworyt

Błędy językowe dr Wintera powiększyły wściekłość policjanta.

— Nocnu przepustku chocze meni pokazaty — zwrócił się do towarzysza z ironią, wzywając go na świadka ignorancji językowej dr Wintera. — Skaży meni łuczsze, zwidky ty wyjszow i szczo ty tam robyw.

Dr Winter pobladł. W tamtym kierunku był tylko jeden dom mieszkalny, poza tym rudery i zgliszcza. Dalej zaczynały się druty i puste, huczące pole. Wydało mu się nagle, że tamten przeziera go na wskróś. Czuł na sobie jego szyderczy, wszechwiedzący wzrok. Domyśla się na pewno, domyśla. Obejrzał się: malców już nie było. Policjanci, zajęci rozmową z dr Winterem, nie zauważyli ich obecności ani ucieczki.

— Abo skażesz meni, zwidky ty wyjszow abo...

— Panie policjancie — rzekł dr Winter, uspokojony nieco ucieczką chłopców i przechodząc dla większej swobody na język polski — chętnie powiem panu, skąd wychodzę. Lecz po cóż stać tu na mrozie? Pan pozwoli parę kroków ze mną do mego mieszkania. Tam panu wyłożę motywy mojej przechadzki.

— Szczo ty meni jakiś swoi motywy choczesz wykładaty — powtórzył policjant z uporem, bodaj czy nie pijackim? — Meni treba znaty, zwidky ty wyjszow, a jak ni...

— Z knajpy wyszedłem — odparł zuchwale i nieoczekiwanie dla siebie dr Winter, przygotowany już teraz na najgorsze.

Odpowiedź była niewiarygodna. Knajpa znajdowała się w zupełnie innym kierunku, o czym policjanci, stali jej bywalcy, nie mogli nie wiedzieć. Przypadkowe to słowo podziałało jednak zbawiennie. Głos policjanta zmiękł.

— Ano, chodim do knajpy, jak tak napyrajeszsia. Tam meni wyłożysz wsi swoi motywy. Ale uważaj, szczobyś druhyj raz nie upaw na mene...

W pustej knajpie, skąd odeszli już ostatni goście, pośród wywróconych krzeseł i poplamionych piwem obrusów, właściciel krząta się chowając szklanki i talerze, zbierając rozbite szkło. Po czym w świetle kaganka oblicza kasę. Niekiedy śliniąc palce przy rachowaniu banknotów rzuca pobieżne spojrzenie na śpiące na podłodze pod pierzyną dzieci. Wtem podnosi głowę: nasłuchuje. Zgrzytnęła brama. Na schodach słychać podkute kroki. Odruchowym gestem chowa pieniądze pod blat stołu. Już łomocą we drzwi: „Otwierać!" Właściciel podbiega ku leżącym na podłodze dzieciom, szarpie je za ramiona: „Wstawajcie! Prędzej! Tylne drzwi!" Lecz nim zdążyły się wyplątać ze snu, drzwi pod naciskiem kolby ustępują. Właściciel poznaje twarze wchodzących: ten blondyn z szeroką gębą i zadartym nosem, nazwiskiem Mykitko, wziął w sierpniu jego matkę na śmierć. Tamten drugi, czarnowłosy, to Mikolko, który tak bije w więzieniu. Ale oblicza ich — na szczęście — nie zapowiadają dzisiaj nic groźnego; zwracają się doń nawet po polsku, co jest niewątpliwą oznaką dobrego humoru.

— Czegóż to pan nie otwiera, panie szef? My w gości do pana przyszli, a pan nas tak przyjmuje? Na wódkę do was zaszli, za bezdurno nic nie chcemy. Ani grosza nie zostaniemy dłużni. Ten pan stawia.

Właściciel mruży oczy, by rozpoznać twarz trzeciego gościa. Czyżby go wzrok mylił? Więc i ten ma konszachty z policją? Taki porządny — zdawało by się — człowiek... Czasy, czasy...

— Ach, to pan, panie doktorze — mówi głośno. — Proszę, proszę!

Policjanci zajmują miejsca za stolikiem; karabiny biorą między nogi.

— Flaszkę wódki poproszę! — mówi siadając obok nich dr Winter.

— A zakąsek to pan nie stawia, panie doktór? — mówi czarny Mikolko, patrząc nań uważnie. — No, dobrze, jak pan chce. A przy wódce powie pan nam, skąd pan wychodził, kiedy my pana spotkali.

— I zakąski poproszę! — mówi dr Winter do właściciela.

— A to coś inszego! Łosoś u was jest, panie szef? Dawaj pan kanapki z łososiem! Lu go! Za pańskie zdrowie, panie doktór! Żeby nasze dzieci bogatych rodziców mieli!

Chwila milczenia.

— Jak ja tak na pana się patrzę, panie doktór, to u mnie w głowie jest taka myśl: co by pan zrobił, jakby bolszewicy tu przyszli? A? Pan by z pewnością wszystkich niemieckich policjantów nożyczkiem... po kawałeczku... co? A ja, widzi pan, człowiek spokojny jestem, mam pana teraz, swego wroga zaklętego, w rękach — i nic. Taka już moja natura. I wódkę z panem piję. No lu! Jeszcze po jednemu! Bez obrazy, panie doktór! Nu, a co by pan tak zrobił, jakby bolszewicy tu przyszli?

— Wcale nie życzę sobie przyjścia bolszewików — odpowiada dr Winter patrząc mu prosto w oczy. — Mało mi oni złego zrobili? Wcale nie życzę im zwycięstwa i...

— Komu pan życzy, panie doktór, jak nie bolszewikom? Niemcom może? A?

— No, Niemcom nie Niemcom. Chciałbym, żeby Niemcy wygrali i żeby stworzyli tutaj niezależną Ukrainę.

— Ech, jaki z pana Ukrainiec! I tak od razu! A dawniej to pan Polakiem był, co?

— Wódki jeszcze poproszę — mówi dr Winter do właściciela.

— No, widzi pan, jaki z pana morowy chłop, panie doktór! Pij, Mykitka! trąca kolegę. — Pij, kiedy pan doktór stawia. Widzi pan, to jest prosty parobek od gnoju, a on się przed panem krępuje, chocia mógłby pana zastrzelić tu, na miejscu, i nikt by mu krzywego słowa nie powiedział. Zmienili się czasy, panie doktór! I ja jestem cham, chocia mam cztery klasy gimnazjalne, a pan ma szkoły, uniwersytet. A ja dzisiaj jestem niemiecki policjant, deutscher Polizei, a pan służy przede mną na dwóch łapkach i wmawia mi pan, że pan chce, żeby Niemcy wygrali i zrobili tu niezależną Ukrainę. A wszystko dlatego, że się pan boi. Jakbym chciał, mógłbym panu kazać tańcować albo śpiewać te swoje — motywy. No i co, naprawdę myśli pan, że tu będzie wolna Ukraina?

— Tak myślę — zgadza się dr Winter.

— Ano! Za zdrowie wielkiej Ukrainy! Cyk! Jeszcze raz! Co? I wódka już się kończy? A pan miał nam przecież powiedzieć, skąd pan wychodził, co? — śmieje się dobrodusznie.

— Wódki, panie szefie, i zakąsek — mówi dr Winter.

— No, widzi pan, jaki pan szczery... Ledwo jedna wódka się skończy, już druga... Nu, a teraz zaśpiewamy: „Szcze ne wmerła Ukraina". Pan zaczyna, panie doktór! Co? Pan nie zna, jaka jest nasza pieśń narodowa? A mówi pan, że pan chce wielkiej Ukrainy? Nu, zaczynać, zaczynać...

Dr Winter fałszywym głosem intonuje hymn. Pijackie wrzaski budzą śpiące na podłodze dzieci, których czarne, przerażone oczy wyzierają spod pierzyn.

— Słysz, Mikolku — mówi milczący dotychczas Mykitka, spoglądając na złoty zegarek ręczny. — Już dochodzi czwarta... My mieli być tam, gdzie wiesz...

— Prawda! — Mikolko wstaje i opiera się ciężko o krzesło. — Nu, płacić! My ludzie honorowe! Za bezdurno nic nie chcemy! Ile tam się należy?

— 1830 złotych — podbiega właściciel z karteczką.

— Nu, płacić, płacić, panie doktór. Ani grosza nie zostaniemy dłużni. U nas rabunku nie ma. Do zobaczenia, panie doktór! A wciąż pan jeszcze nie chce powiedzieć, skąd pan wychodził dziś wieczorem. Ha! Ha! Nu, wódki już nie trzeba.

Dr Winter wychodzi w ślad za policjantami na ulicę. Nie jest pijany: zbyt mocną ma głowę. Przelicza pieniądze: zostało mu 263 złotych — na tydzień życia, skromnie licząc. Przebiega myślą zdarzenia tej nocy. Szachy, skrytka, karabin i w końcu pijatyka z policjantami, to — jakże się tamten wyraził? — służenie na łapkach. Tfu! Obrzydliwość! Rozgląda się dookoła: już szarzeje.

Z ciemności wyłania się powoli perspektywa krzywych domków, ogołoconych kominów zdobnych w żałobne sztandary wron. Śnieżna przestrzeń, pusta od środka, poryta tysiącem niewidzialnych podkopów i lochów, rozbrzmiewa wciąż bezsennym szuraniem nóg! Czarne postacie krążą bezszelestnie, to zbijając się w grupki, to znów się rozpraszając. Brak cierpliwości, by przystanąć. O czym mówić? Trzeba czekać do świtu, póki nie wejdzie spoza cmentarnego muru słońce. Niepisana zasada głosi, że za dnia nic się nie zaczyna. Wtedy spać! Otoczyć się na parę godzin bezpieczeństwem pierzyn, zbudować senny schron wśród masywów pościeli. Gdyby tak umrzeć we śnie?

Wtem wszyscy, jak na komendę, zwracają się w tamtą stronę. Nad murem cmentarnym wschodzi powoli kask metalowy. To Niemcy objęli straż nad przejściami. Zaczęło się! Biała przestrzeń pokrywa się momentalnie siatką czarnych, oślepłych biegów. Podziemne lochy wysysają żarłocznie ludzi. Wielki, prowadzący nie wiadomo dokąd otwór kanałowy pochłania nieskończoną kolejkę. Ludzie stają w ogonku, aby zniknąć; wszystko to pod pobłażliwym okiem stalowych hełmów, które stojąc na posterunkach, przypatrują się, nie przeszkadzają, milczą. Gra się jeszcze nie rozpoczęła. Obie strony ignorując się nawzajem, czynią dopiero przygotowania. Z doświadczeń poprzednich akcyj wiadomo, że reguły zabawy są za każdy razem odmienne. Trzeba je odkrywać wciąż na nowo. Kogo oszczędzą tym razem? Starych czy młodych? Kobiety czy mężczyzn? Skąd wezmą? Z Rady czy z domów? Trzeba ryzykować w tej grze, gdzie zasadą jest nieprzewidzialność, a stawką — życie.

Nagle — nie wiadomo skąd, z poszeptów, z pogwarek, z rzuconych w przelocie słów — wyłania się reguła dzisiejszej zabawy. Jest nią praca fizyczna. Robotnicy będą dzisiaj szanowani i nietykalni. Nikt nie wie, jak powstał ten podział. Może przynieśli go Niemcy. Może został im narzucony, niezdecydowanym jeszcze, przez same ofiary, które dobrowolnie rozpadły się na dwa obozy. Jakaś podstawa wyboru musi przecież istnieć. Więc na dzisiaj ta...

I oto zebrani w oka mgnieniu w gmachu Rady urzędnicy, którzy podczas poprzednich, na innej zasadzie opartych, akcyj, pochyleni nad księgami, do tego stopnia zdawali się zajęci sprawdzaniem zeszłorocznych bilansów, że nie zauważali nawet wchodzących esesowskich patroli, dzisiaj, porzuciwszy wyciągi i skontra, rozbiegają się pośpiesznie po salach w poszukiwaniu instrumentów. Jeden wióruje znalezionym w magazynie heblem nieposzlakowanie gładki stół, inny wszedłszy na krzesło obłupuje kit z okien, by je po chwili na nowo zalepić, ów wreszcie, wyłamawszy klamkę ze drzwi, zabiera się natychmiast do jej przymocowania.

Przybyły nieco później dr Winter zdobył już tylko jako jedyne narzędzie pracy fizycznej starą miotłę wierzbową pleśniejącą cicho w kącie. Naśladując swych zaaferowanych kolegów, zabrał się ze zwykłą starannością do wymiatania jednej z pustych sal, płosząc śpiące odwiecznym snem po zakamarkach pajęczyny.

Młody gołowąs esesowski wszedłszy do sali, gdzie dr Winter oddawał się swemu zajęciu, przystanął na chwilę zdumiony — w rozterce między posłuszeństwem wobec obowiązującej już teraz i jego zasady, a oburzeniem wobec tak bezczelnego jej nadużycia.

— Was machst du den hier? — zapytał i jakby sam nie mogąc się nadziwić własnym słowom urwał z wpółotwartymi ustami.

— Ich fege den Fussboden — brzmiała równie oczywista jak niepotrzebna odpowiedź.

— Ja... aber... — esesowiec był wyraźnie w kłopocie, czy zamiatanie czystej zupełnie podłogi można uważać za pracę. Wreszcie wściekłość z powodu nieznanego mu dotąd uczucia rozterki, narastając, wyładowała się w niespodziewanym dla niego samego wybuchu:

— Komm!

Dr Winter postawił miotłę w kącie i poszedł wzdłuż korytarza z esesowcem, który wciąż jeszcze walczył ze sobą. Właściwie sprawa była niejasna. Ostatecznie, zamiatanie podłogi... Korzystając z tych duchowych powikłań dr Winter, połączony z nim ową więzią intuicyjną, jaka rodzi się między zwierzyną a myśliwym, oddalił się spacerowym krokiem ku pierwszym przygodnym drzwiom — pośpiech byłby wywołał chęć, a może i przymus pogoni — od esesowca, zadowolonego być może z wyzbycia się jedynego, jaki go kiedykolwiek trapił, moralnego problemu.

Drzwi otwierały się na schody prowadzące w dół, do kuchni i kotłowni. Zapaliwszy papierosa schodził dr Winter zwolna po stopniach. Nie odczuwał ulgi ani radości. Zbyt zaskakujące były te wypadki, aby dawały czas na doznanie czegokolwiek prócz komizmu przeżytej przed chwilą sytuacji. Wszystko rozpłynęło się w wewnętrznym wybuchu jadowitego śmiechu...

W kuchni, dokąd zaszedł w poszukiwaniu zajęcia, wrzała praca. Wśród kłębów pary uwijały się kobiety gotujące niepotrzebną nikomu zupę. I — jak zawsze w ustroju kapi-

talistycznym, tak i tutaj — okazał się nadmiar rąk roboczych. W kotłowni, przy pompie pracowało już dwóch ludzi — z zapałem tym godniejszym podziwu, że właściwie pompa była zepsuta i wodę do kotłów kuchennych trzeba było i tak nosić wiadrami. Na metalowej rękojeści spoczywało czworo dłoni zataczających równomierne kręgi. Dwie z nich należały do Maurycego, który — chcąc w pełni zrealizować ideał robotnika — mimo mrozu zrzucił marynarkę. Na uchwycie pompy zostało jeszcze niewielkie miejsce — dla jednej dłoni. Dr Winter ujął je lewą ręką, trzeci i niepotrzebny. Obok spocona dłoń Maurycego, posuwająca się ku brzegowi i niechętny głos:

— Przeszkadzasz.

W sąsiedniej hali dudnią już po kamiennej posadzce podkute kroki. Teraz dopiero, gdy ma już za sobą poprzednie doświadczenia, wstrząsa nim groza. Czuje jak poprzez szczękające zęby zaczyna szeptać modlitwę, upokarzając się nie tylko wobec tamtych dwóch, ale i wobec nie istniejącego Boga, któremu życzy w tej chwili z całej duszy istnienia: „Boże, uchyl ten kielich od moich warg, Boże!". I te wahania go może gubią. Bo kiedy z ust granatowych policjantów pada stereotypowe pytanie:

— Co robicie tu?

i odpowiedź z ust Maurycego:

— Pompujemy wodę

znów śmiercionośne pytanie:

— A ten trzeci?

zwalnia rękę z uchwytu. Lub może zdaje mu się, że ją zwalnia, trzyma się bowiem jeszcze dwoma palcami, kiedy pada odpowiedź Maurycego:

— Ten się dołączył —

by puścić ostatecznie dopiero w chwili, gdy słyszy słowa:

— Z nami!

Nie wie, nie wie, ale chce wierzyć — idąc teraz na miejsce stracenia — że puścił ją dobrowolnie.

•

Środkiem drogi suną w kapeli dzwonków sanie. Ślizgawica, że aż ha! Na wieś po zakupy! Do miasta na wódkę! Miga różowa twarzyczka w obramowaniu z futer. Z dwukonnej bryczki wychylają się dwie ociężałe głowy, kiwające się symetrycznie w dwie strony w takt ruchu zadów końskich. Lecz oto sanie, mknące dotychczas wydeptanym szlakiem, skręcając w zaspy, grzęzną. Od strony miasta nadciągają, pęczniejąc w biegu, samochody, ciężkie, ładowne. Na deskach platformy żandarmi w kaskach z opuszczonymi rzemieniami.

— Leżeć tam na dole!

Głowa, wyłoniona na chwilę spoza burty, znika pod ciosem kolby. Samochody przeszły. Sanki ruszają.

Z kominów wsi Radłowice unoszą się dymy prosto w niebo. Udeptane ścieżki wiodą z obejścia na obejście. Skrzypią furtki.

— Gosposiu! Gosposiu! Jajeczek parę pożyczcie na kołacze!

— A macie ta głowę do gospodarowania, kiedy takie się robi?

— A bo to moja sprawa, gosposiu kochana? Wola Boża! Komu żyć, komu gnić.

Szczere pole. Wzgórki, dołki, wydmy, obrywy śnieżne. Nartami by śmignąć, aż wicher by zaświstał. Prawda, że w środku jest jama 30 na 60 m, a kupy świeżo wyrzuconej ziemi plamią harmonijny krajobraz. Tu skręcają samochody.

Jest tam i nasz bohater. Czy poznajecie go jeszcze? Odwróćcie raczej spojrzenie, aby nie dojrzeć rumieńca, który pali mu twarz. Lecz może ten wstyd właśnie w tej wszechupodobniającej chwili odróżnia go od ośmiuset nagich, dygocących postaci.

Patrzy:

Z kominów dymy idą — prosto w niebo.

Volksdeutsche przetrząsają kieszenie za złotem.

I kiedy gestapowiec z empi w dłoni zwraca się do tłumu:

— No, dzieci, kto na ochotnika? —

on występuje pierwszy.

I to jest jego odwet. Nie odbierajmy ostatniej pociechy umierającym.

Artur Sandauer

WACŁAW KUBACKI

Echa Mozarta w III części „Dziadów"

Teraz, bracia, piosenkę lepszą posłyszymy
Ale muzyki trzeba. — Ty masz flet, Frejendzie,
Graj dawną jego nutę.

Przed pieśnią zemsty, jaką zaimprowizował Konrad pod muzykę Frejenda, czytamy dziś wskazówkę inscenizacyjną: „Frejend próbuje różnych nut". Według autografu kórnickiego notatka ta wyglądała pierwotnie nieco inaczej: „Frejend próbuje różnych nut, nareszcie na nutę Non più andrai". Odmianę tę podało paryskie wydanie Pism Adama Mickiewicza z 1860 r. (III, 207). Kallenbach w wydaniu III części „Dziadów" w serii Biblioteki Narodowej, podawszy tę odmianę tekstu nic w tym miejscu nie objaśnia. „Non più andrai", to sławna aria Figara z I aktu opery Mozarta „Nozze di Figaro". Nie należy mieszać opery ze sztuką Beaumarchais'go, ani tym bardziej łączyć „pieśni zemsty" z akcentami niezadowolenia i krytyki ustroju społecznego, jakie zawiera komedia francuska.

Motywu konstrukcyjnego dostarczył Mickiewiczowi Mozart i jego librecista da Ponte. Muzyką zajmowali się filomaci bardzo żywo, śpiewali, grali, chodzili na koncerty. Przewodniczyli w tym trzej bracia Zanowie, muzykalni i obdarzeni ładnymi głosami (por. pamiętnik Ottona Śliźnia, wyd. H. Mościcki. „Z filareckiego świata", str. 119—120). Wśród wielu rad promienistych, wydeklamowanych przez Zana na pierwszej majówce 6 maja 1820, jest i taka: „Pracuj... poznaj muzykę" (Poezja Filom., II, 301). Jakże wzruszający jest Oleś Chodźko, kiedy kochanemu panu Tomaszowi donosi 11 września 1823 o swoich postępach wakacyjnych w muzyce: „na fleciku wszystko już z nut dojdę" (ogłosił prof. Pigoń. „Głosy sprzed wieku", Wilno, 1924, str. 28).

O życiu muzycznym Wilna w latach 1816—1818 różne ciekawe szczegóły podaje Teodor Krasiński w swoim „Dzienniku" (wyd. H. Mościcki, „Z filareckiego świata", 33—71). St. Morawski o artystyczno-kulturalnej roli księgarni Józefa Zawadzkiego, która była salonem literackim i muzycznym („Kilka lat młodości mojej w Wilnie 1818—1825", Warszawa 1924, str. 139—142) i „Korespondencja Filomatów" (I, 245, 250, 429—430; II, 31, 39). O muzyczno-dobroczynnej działalności prof. Józefa Franka, w którego imprezach brał udział także Zan, mówią jego „Pamiętniki" (Wilno 1913. III, 194 i 213—220). W roku 1821 wystawiono w Wilnie „Flet czarodziejski" Mozarta i „Wolnego Strzelca" Webera („Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza", Warszawa, II, 123). W ramach pracy zbiorowej w gronie filomackim Mickiewicz zajął się tłumaczeniem ustępu o „Operze" z encyklopedii Sulzera „Die allgemeine Theorie der schönen Künste", czego ślady zostały w twórczości poety. W fragmencie I części „Dziadów" mamy w „pieśni strzelca" echo wspomnianej opery Webera. W Kownie uczęszcza Mickiewicz na koncerty (Do Jeżowskiego, 12/24 list. 1819). Muzykowano również w Tuhanowiczach, ponieważ Zan donosił Mickiewiczowi w 1822 r., że widział Marylę płaczącą, „kiedy przegrywała te sztuki, któreś lubił" („Kor. Filom.", IV, 235). Odpowiada temu wzmianka w wierszu Adama „Precz z moich oczu" (Do M.***):

Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Muzycznym szyfrem posługują się filomaci dla ukrycia działalności swego towarzystwa. Malewski pisze do Zana z Berlina: „W muzyce daj Boże abyś nie ustał; wieniec gółek (całych nut) i ogonatek czeka na cię" („Kor Filom." IV, 395). W czasie procesu filareckiego Zosia Malewska miała z polecenia Zana zawiadomić brata w Berlinie o wzięciu przez Zana całej winy na siebie w słowach „nastroił fortepian sam jeden" (por. fragmenty więziennych listów Zana w „Roku Mickiewiczowskim", Lwów, 1899, str. 59). Nudę więzienną zabija młódź akademicka muzyką i pieśnią. W celi Zana improwizuje Mickiewicz pod nutę Filona (Otto Ślizień, wyd. H. Mościcki, „Z filareckiego świata", str. 140, por. też Odyńca „Wspomnienia z przeszłości", Warszawa 1884, str. 285 i 287); melodię „Filona" znaną na Litwie i śpiewaną przez filomatów, odmienną od melodii, na której oparł swe wariacje Chopin, podał Chryzostom Łodzia („Pamiętnik Tow. Lit. im. A. M.", II, 189). Pieśnią z którą tradycja wiąże improwizację berlińską Mickiewicza jest duma Niemcewicza o Żółkiewskim: „Za szumnym Dniestrem, na cecorskim błoniu" (melodia Konst. Narbuttówny, por. W. Cybulski, „Odczyty o poezji polskiej XIX w.", Poznań 1870, I, 212, oraz list Mickiewicza do Malewskiego z 12 czerwca 1829). Spotykamy się z tą dumą na majówkach promienistych („Kor. Filom.", II, 64) i na imieninach Mickiewicza, jak świadczy Ignacy Domeyko (por. H. Mościcki, „Z filareckiego świata" str. 87). W Petersburgu, na głośnej w lii 1827, chcąc pobudzić Mickiewicza do improwizowania grano na fortepianie „Hej, użyjmy żywota" (Mik. Malinowski, „Księga wspomnień", Kraków 1907, str. 65).

W czasie pobytu w Rosji na koncertach i operze oraz w salonach arystokracji rosyjskiej i polskiej pogłębia Mickiewicz swą kulturę muzyczną. Karol Kaczkowski spotyka Mickiewicza i Malewskiego w odeskiej operze na „Normie" („Wspomnienia", Lwów, 1876, I, 115—116). Osobną pozycję muzyczną w wygnańczym życiu poety stanowi dom przyszłej teściowej, pianistki Szymanowskiej, która komponuje melodie do paru wierszy Mickiewicza (St. Morawski. „W Peterburku", 165—166, por. L. Stolarzewicz, „Bibliografia pism Mickiewicza", Wilno 1924, str. 171—173). W liście do St. Dobrowolskiego z grudnia 1826 wspomina poeta o grywaniu na fletrowersie, co zresztą Czubek skłonny jest rozumieć jako szyfr (wyd. Sejm., XIII, 284, przypisek).

Korespondencja poety z tych lat zawiera liczne wzmianki muzyczne; wybieramy ważniejsze miejsca mozartowskie. W liście do Klem. Zalewskiej jest mowa o duecie z II aktu „Don Juana": La ci darem la mano (Petersburg, wrzesień 1828). Do Odyńca pisze Mickiewicz z Petersburga na jesieni 1828: „Jeżeli chce z mieć wyobrażenie o pięknym śpiewie, zapoznaj Riccego z damami jakimi muzykę umiejącymi i proś niech co zaśpiewa, szczególnie który psalm Marcella, najulubieńszą muzykę moją albo jaką arię Mozarta np. z Nozze di Figaro: „Non più andrai"; on ją przecudownie śpiewa". Sławna śpiewaczka Catalani, o której tyle wzmianek w korespondencji filomackiej, śpiewała tę arię w 1820 w salonie prof. Franka („Pamiętniki, III, 219) Widzimy więc, że nie były czcze słowa Feliksa, zwrócone do Frejenda: „Graj dawną jego nutę..."

Ciekawe, że nowsze badania nad psychologią twórczości Mickiewicza jakoś dziwnie się obywają bez konkretnych, rzetelnych podstaw filologiczno-literackich np. z powodu III części „Dziadów" mówi się o czynniku muzycznym w ogóle i o potędze jakiejś tajemniczej „dawnej nuty" nie podejrzewając nawet, ile w „Dziadach" jest konkretów. Powstanie III części „Dziadów" — według tejże metody „przypisać śmiało już można, zwycięskiemu w boju z erotyką, patriotyzmowi" (Dr St. Maciaszek, „Życie duchowe i twórczość poetycka Adama Mickiewicza w świetle psychologii namiętności i psychoanalizy" Poznań, bez daty, str. 130). Za chwilę zobaczymy, czy rzeczywiście można tak śmiało mówić o zwycięstwie patriotyzmu nad erotyką.

Ulubionym kompozytorem poety został Mozart. Malewski donosząc dnia 14 lipca 1827 r Lelewelowi o przerwie w wykończeniu „Konrada Wallenroda", zdradza, że Mickiewicz pobudzał wenę muzyką Mozarta jako niezawodnym środkiem: „Zaciął się tak, że nawet Don Juan ulubiony, którego mu gram co dzień przy łóżku, nie może mu natchnąć tak małego kawałka" (cyt. wg. Kallenbacha, I, 357, który nie podaje źródła — zapewne niedostępne mi „Echo Polskie", Moskwa, 1916).

Mozartowi pozostał Mickiewicz wierny Z nieco naiwnych wspomnień córki poety, Marii Goreckiej, wiemy, że nad wszystko przedkładał „Don Juana" i „Flet czarodziejski"; na prelekcje do Collège de France przygotowywał się w ten sposób, że najczęściej w wilię wieczorem przechadzał się po salonie, a żona grywała mu całymi godzinami Mozarta: „Notat nie robił nigdy żadnych i nazajutrz rano wychodził z prelekcją gotową" („Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu", Kraków, 1897, str. 63—64). Dwie są dziś rzeczy pewne w związku z tą relacją: jedna, że córka poety pomieszała przygotowanie materialne z natrojowym, a druga, że konkretniejszy był wpływ Mozarta na twórczość poetycką niż na profesorską Mickiewicza. O predylekcji poety do „Don Juana" świadczy też L. Siemieński („Portrety literackie", Poznań, 1865. I, 329) i A. Niewiarowicz („Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu", Lwów, 1878, str. 164).

Niewiarowicz wspomina także o pieśniach ułożonych przez Mickiewicza i wykonywanych przez Ksawerę Dejbell (str. 164; por. Wł. Bełzy o Mickiewiczu-kompozytorze w książce „Z epoki Mickiewicza", Lwów, 1911). W zeszycie II „Śpiewnika Mickiewiczowskiego", jaki wydał we Lwowie Edmund Urbanek, znajdujemy melodię Mickiewicza do wiersza „Słowiczku mój", wyjętą, jak podaje wydawca, ze zbiorów Muzeum Narodowego w Raperswilu.

Autentyczność utworów, a zwłaszcza ich wartość muzyczną, to osobne zagadnienie, które tylko ubocznie jako przyczynek do ogólnej atmosfery muzycznej wchodzi w zakres mych badań. Krytycyzm każe zauważyć, że do powstania ewentualnej legendy kompozytorskiej mogły się przyczynić, oprócz wrażliwości muzycznej poety, stosunków z Chopinem i Karolem Lipińskim, także niektóre żartobliwe wzmianki w listach Mickiewicza. Do Ignacego Domeyki pisał poeta o niemałym pociągu do chemii i muzyki (9 maja 1839). W liście do Bohdana Zaleskiego z powodu jakiejś dumki znalazł się następujący ustęp: „Nieraz ją sobie śpiewam i mam zamiar kiedyś do niej muzykę zrobić. Ma się rozumieć, jak będę miał pieniądze i literaturę i książki porzucę, na wsi osiądę i będę muzyki komponował. Zamiar dawny, tylko że nikt a nikt w mój talent muzyczny nie wierzy" (7 stycznia 1840).

Na III część „Dziadów" oddziałał Mozart „Don Juanem" i „Weselem Figara".

Na kontraście „Don Juana", zabawy zakłóconej przez interwencję niebios, wzorował poeta scenę balu u Senatora. Opera dostarczyła nie tylko schematu kompozycyjnego, ale także pomogła w wywołaniu grobowego nastroju, wprowadziła motyw „Dziadów" na salę balową prześladowcy młodzieży litewskiej Muzyka stała się jakby równoważnikiem guślarskiej przestrogi — pomyłka orkiestry zaczynającej pośród zabawy partię Komandora! — niebawem nadciągnie burza, padnie od pioruna gorliwy pomocnik Senatora i goście rozbiegną się w przestrachu. Rola Komandora nie ogranicza się tylko do nastroju. Na balu zjawia się sobowtór Komandora w osobie ks. Piotra, który Doktorowi i Bajkowowi przepowiada śmierć:

Bracie i twój już zegar stanął i nie ruszy
Do drugiego południa, Bracie myśl o duszy
(368—369)

Przypomina to przestrogę, daną przez posąg Komandora na cmentarzu Juanowi (scena XII):

Di rider finirai pria dell'aurora

potem na uczcie (scena XVII):

Pentiti, cangia vita: è l'ultimo momento!
(Partytura „Don Juana". Breitkopf & Härtel, Lipsk).

Gdy Doktór ginie, rolę Don Juana-szydercy gra dalej Pelikan. W ten sposób na przeciw wysłannika boskiej sprawiedliwości, Komandora — ks. Piotra, staje jakby podwójny Don Juan w osobach Doktora i Pelikana.

Odkształcony motyw komandora znajdował się już w IV części „Dziadów", gdzie Gustaw — upiór-potępieniec marzy o wejściu na biesiadę weselną niewiernej kochanki:

W salach, gdzie od złota świecące pijaki
Przy godowym huczą stole...
Ja w tej rozdartej sukni, z tym liściem na czole
Wnijdę i stanę przy stole...
Zdziwiona zgraja od stołu powstała,
Przepijają do mnie zdrowiem
Proszą mnie siedzieć, ja stoję jak skała.
Ani słowa nie odpowiem.
Plączą się skocznie kręgi przy śpiewach i brzęku
Prosi mnie w taniec drużba godowa
(podkr. moje).

(Porównanie „ja stoję jak skała" akcentujące nieruchomość, milczenie, kamienność, słowem groźną posągowość niesamowitej zjawy pośród uczty jako środek ekspresji bliskie jest, z uwzględnieniem różnic gatunkowych opery i literatury, technice „motywu Komandora"). Motyw zakłóconej zabawy jest nadto łącznikiem między trzecią i drugą częścią „Dziadów": Senator przypomina Złego Pana!

Ale ty, panie, bez duszy
Hulając w pijanej ochocie
Przewalając się po złocie
Hajdukowi rzekłeś z cicha:
Kto tam gościom trąbi w uszy?
Wypędź żebraczkę do licha!
Posłuchał hajduk niecnota:
Za włosy wywlókł za wrota
Wepchnął mnie z dzieckiem do śniegu.

Ta skarga biednej wdowy przywodzi na pamięć inną nieszczęśliwą matkę i wdowę, Panią Rollisonową, która również przeszkadza gościom Senatora w zabawie i co do której wydaje on swej służbie trochę surowsze dyspozycje.

„Don Juan" kojarzy w formie wysoce dramatycznej żywioł ziemski z żywiołem fantastycznym. „Don Juan" to mozartowskie „Dziady". Dobrze zrozumiał „Don Juana" Goethe dzięki pokrewieństwu duchowemu z Mozartem: genialnej wszechstronności w rozumieniu różnych przejawów życia oraz przełamaniu się we własnej twórczości dwu stylów, dwu epok: rokoka i preromantyzmu. W rozmowie z Eckermannem w dniu 12 lutego 1829 Goethe wyraził powątpiewanie, żeby ktoś napisał odpowiednią muzykę do „Fausta". „Das Abstossende, Widerwärtige, Furchtbare, was sie stellenweise enthalten müsste, ist der Zeit zuwider. Die Musik müsste im Charakter des „Don Juan" sein; Mozart hätte den „Faust" komponieren müssen".

Goethe chciał mieć muzykę do „Fausta" w stylu „Don Juana", bo sam „Faust" był w stylu „Don Juana". Obie postaci istniały i wiodły bogate życie literackie na długo przedtem, nim librecista Mozarta, Lorenzo da Ponte i Goethe, spowodowali nowe ich wcielenia. Goethe mówił do Eckermanna tylko o muzyce. W „Don Juanie" jest jednak coś więcej niż nastrój faustyczny. Zdumiewa w tej operze rozwój postaci. Donna Elwira zaczyna od banalnej roli opuszczonej kochanki, a potem nagle okazuje się nieszczęśnicą na śmierć zakochaną i w scenie uczty drży o los duszy swego uwodziciela. Jest to niby szkic roli Małgorzaty. Taką samą ewolucję przechodzi Don Juan. Ten trzpiot i złoty panek, którego roznosi temperament, ma w sobie dziwny niepokój, poza lowelasostwem kryje się niezaspokojona niczym i nigdy żądza przygody. Es irrt der Mensch, solang er strebt... Ten rys tłumaczy nam, skąd Don Juan pod koniec sztuki zdobywa się na godność, na tę dumę i odwagę, która każe mu iść przeciw niebu i piekłu. To jeden z tych co podeptali strachy wszelkie „strepitumque Acherontis avari". Było to dzieło w stylu Oświecenia, ale równocześnie daleko poza nie wykraczało. W ciągu ostatniej błyskawicznej wymiany słów — sztuka bowiem zaczyna się pojedynkiem na szpady komandora z Don Juanem a kończy się między nimi szermierką zdań, którą starożytni zwali stichomythią — powtarza się sytuacja z „Prometeusza Skowanego". Koman-

dor, jak wysłannik Zeusa Hermes, nie może wymusić uległości na Don Juanie, który zacina się w uporze i wśród ognia i bicia piorunów zapada pod ziemię. Jądrem „Don Juana" jest „faustyzm" i „prometeizm", które w ciągu literackiej palingenezy tej postaci zostały zniekształcone i zwulgaryzowane; romantycy niemieccy podejmowali próby rehabilitacji tego motywu. Wszystkie jednak najdawniejsze opracowania tej fabuły podkreślają zuchwalstwo bohatera, targnięcie się przeciw potęgom nadziemskim.

Libretta da Pontego nie można porównywać z „Faustem", oprócz różnicy talentów w grę wchodzi różnica gatunku; libretto nie jest przecież dziełem ściśle literackim, ma inne założenia i inne cele, mimo to nasuwa się pewna analogia; libretto ma się tak do dzieła Mozarta jak historia o Doktorze Fauście do „Fausta" Goethego. Mozart stał się nie tylko Goethem ale także Schillerem „Don Juana" Pogłębienie filozoficzne w dziele Goethego dało w rezultacie racjonalistyczne ujęcie faustycznego problemu. „Muzyczne" pogłębienie zagadnienia w utworze Mozarta otworzyło dostęp czynnikom irracjonalnym. W „Don Juanie" mamy coś jakby syntezę klasycznego tytanizmu i mistycznych pierwiastków pochodzenia barokowego, jak i sam motyw „kamiennego gościa". (Hans Heckel, „Das Don Juan-Problem in der neueren Dichtung", Stuttgart, 1915). Z powodu opery Mozarta można by mówić w pewnym sensie o nawrocie do teatru Ajschylosa. Przy omawianiu „Dziadów Drezdeńskich" tyle już razy wzywano imienia Prometeusza nadaremno, iż może usprawiedliwiona będzie także ta próba zwrócenia uwagi na jeszcze jedno możliwe źródło nastrojów (nie zależności) prometejskich. „Don Juan" w przedmozartowskiej postaci to motyw moralitetowy; w tej chrześcijańskiej przeróbce odżył w Hiszpanii stary motyw buntownika, zuchwalca i bluźniercy. Tu zapewne po raz pierwszy dokonało się uchrześcijanienie motywu Prometeusza, o czym podobno marzył Mickiewicz. Charakter moralitetu występuje jeszcze wyraźnie w finale opery Mozarta. Zdawała sobie z tego sprawę George Sand, jak wynika z „Essais sur le drame fantastique", gdzie jako przykłady na artystyczną realizację walki sumienia stoją obok „Prometeusza" Ajschylosa, furii Orestesa, widm „Hamleta", „Makbeta" i „Juliusza Cezara" także „Don Juan" Moliera i „Don Juan" Mozarta (w zbiorze „Impressions littéraires").

Kolej teraz na drugie dzieło Mozarta, na „Wesele Figara", a właściwie tylko na arię z tej opery: **Non più andrai.** Przyjrzyjmy się sytuacji dramatycznej. Hrabia Almaviva postanawia pozbyć się ze swego dworu młodego pazia Cherubina, który mu wchodzi w paradę u kobiet, a którego plotki podejrzewają nawet o podnoszenie oczu na panią domu. Mianuje go tedy oficerem i każe natychmiast zgłosić się do swego pułku. Osłupiałemu paziowi śpiewa Figaro arię (nr 9), która jeszcze za życia Mozarta uchodziła za najsławniejszą z jego arii. W pierwszej części szkicuje Figaro obrazek beztroskiego życia ulubieńca pań, pazia i poety Cherubina, który musi się pożegnać z wygodą i zbytkiem, pieśniami i miłością:

Non più andrai farfallone amoroso,
Notte e giorno d'intorno girando,
Delle belle turbando il riposo,
Narcisetto, Adoncino d'amor.

Druga część to pochwała życia wojskowego, bohaterskiego, utrzymana w rytmie marsza, śpiewana z towarzyszeniem trąb i bębnów. Marsz to:

Per montani, per valloni,
Colle neve e i sol Lioni,
Al concerto di tromboni,
Di hombardi, di canoni,
Che le palle in tutti i tuoni
All orecchio fan fischiar.

Teraz wezwanie:

Cherubino alla vittoria,
Alla gloria militar!

Z powodu arii „Non più andrai" napisał jeden z pierwszych monografistów Mozarta, Aleksander Ulibiszew, że kompozytor znalazł „rytm, który mocen jest sto tysięcy ludzi poruszyć do marszu i muzykę zdolną zelektryzować nawet ostatniego ciurę" („Mozart's Opern", Leipzig, 1848, str. 91; por. monografię Otto Jahna w przeróbce Hermanna Abertа, „W. A. Mozart", 6 Auflage Leipzig, 1924, II, 315—316. — Arię „Non più andrai" odtworzył baryton Battistini na płycie „His Masters Voice". D. B. 736).

W poprzednim (69) numerze z dnia 24 marca: **Jan Alfred Szczepański:** Przerosty watykanizmu. — **Leopold Staff:** Astrolog. — **Roman Bratny:** Dramat w końskiej żrenicy. — **Kazimierz Brandys:** Wrzesień. — **Stanisław Piętak:** Do matki. — **Tadeusz Kubiak:** Tu. — **Władysław Machejek:** W ogrodzie. — **Leonard Podhorski-Okołów:** O mickiewiczowskiej „Donnie Giovannie". — **Konrad Winkler:** Ludowy mecenat sztuki. — **Wacław Kubacki:** Na temat filmu. — **Helena Blumówna:** Rysunki Kramsztyka z ghetta. — **Zuzanna Ginczanka:** * * *. — **Stanisław Wygodzki:** * * * — Korespondencja (**Józef Reiss, Wilhelm Mach, Mieczysław Zydler, Józef Sieradzki, M. Bartoszewicz, Leon Sobociński, Stefan Orzechowski, Artur Sandauer**). — **Marian Tyrowicz:** Nieznany biograf Kościuszki. — Z wystawy pośmiertnej Józefa Pankiewicza. — **Marian Promiński:** Wśród książek. — **Teofil Witek:** Chłopski parlament. — W pracowniach pisarzy i uczonych. — **Kazimierz Olszewski:** Troska o wychowanie. — **sfl:** Wśród francuskich czasopism. — **zb:** Przegląd prasy. — **bp:** Złote myśli Kocwy. — **Józef Sieradzki:** „Stara baśń". — **Stefania Łobaczewska:** Z ruchu koncertowego w Krakowie. — 6 ilustracji. — 12 stron.

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

Mickiewicz w deszczu jesiennym

Nie być — to pomnik trwały pośród ruin krwawych.
Tak na Krakowskim Przedmieściu rwie w strzępy dynamit
legendę, której cztery nie ustrzegły znicze.
Padał deszcz, pada deszcz —
płomień duszony wodą kurczy się i syczy.

Jakim przepędzić słowem niebo zgorzałe we wrześniu,
gdy pod krwi kolor drapieżny gaśnie muzycznie jesień?
Jakże za workiem z piasku w boju ulicznym polec?
Padał deszcz, pada deszcz —
otwarta księga moknie na pustym cokole.

Słupem płonącym iść w naród, jak w puszczę nieobjętą.
Jest pewne: serce za milion to pierwszy w zrywie powstaniec,
gdy dzieje we krwi krzepną i rany znowu są świeże.
Padał deszcz, pada deszcz —
udekorujcie to serce skrwawionym polonezem!

O, roku ów!... Twe imię to jest, Czterdzieści i Cztery.
Kto wpisał je w swe życie, jak gdyby w koło magiczne,
ten, choć mu tchu nie staje, przecież nie umiera.
Padał deszcz, pada deszcz —
połóżcie obok bomby pęk święconego ziela.

Bo oto z tun nad miastem dno się wynurza śmiertelne.
Wojna — ta gasi oczy spiżowym nawet posągom,
więc ślepa jest twarz, której śmierć rysy nagle uprości.
Padał deszcz, pada deszcz —
martwieje na pomniku garść wierszy, niby kości.

Kompozycyjna rola tej arii występuje obecnie jasno: zawiera ona motyw Czeczota-Tyrteusza i Alfa-Konrada. Mamy w niej Mickiewiczowski temat przekształcenia się kochanka w żołnierza. Jeśli przypomnimy sobie list Jeżowskiego, który surowo sądził przyjaciela, za gubienie się w miłosnych, tuhanowicko-kowieńsko-bolciennickich historiach („Nic łatwiejszego nad bohaterów miłości Pół świata zajęłyby kotary, gdybyśmy wyliczać je od Dawida aż do nas mieli dosyć czasu. Lecz nie sofy, nie względowia, nie kobierce, nie zasłonki, nie pieszczoty są nam potrzebne. Przyjaźń, praca wspólna i uporczywa, ćwiczenie się, wytrwałość, młodzież-obywatele, kraj, ojczyzna powinny nam we śnie i na jawie stać nieustannie przed oczyma. Brutusów nam potrzeba, nie Antoniuszów". „Kor. Filom.", III, 291); jeśli weźmiemy pod uwagę późniejsze gromy Czeczota ciskane na życie poety w Odessie, na Krymie i w Moskwie oraz analogię biograficzno-sytuacyjną między Cherubinem i Mickiewiczem (Mickiewicz także gorszył swymi przygodami buduarowymi, a uroczy paź także układa wiersze, czego daje dowód śpiewając na początku drugiego aktu śliczną canzonettę „Voi che sapete") — to zrozumiemy, że wybranie tej arii za melodyjny wtór do pieśni zemsty otwiera ciekawe perspektywy nie tylko na technikę kompozycyjną Mickiewicza. W postaci pazia są podobno Mozartowskie reminiscencje autobiograficzne (Bernhard Paumgartner, „Mozart", Berlin, 1927, str. 337—338). Byłby to dalszy ciekawy szczegół dla omawianego tu „mozartyzmu" Mickiewicza.

Aria Mozarta zbyt jaskrawo oświetlała sytuację Mickiewicza po upadku powstania listopadowego, aby mógł ją umieścić w druku; pozostała więc ta wskazówka tylko w czystopisie! Nawet komizm sceny, kiedy po arii Figara wszyscy zwracają się do zaambarasowanego pazia ze słowami „Cherubino, alla vittoria, Alla gloria militar!", powtarza się w sytuacji Mickiewicza, któremu nawet przyjaciele-Moskale, jak Chlustin, z lekka wypominają, że nie szukał pięknej śmierci na pobojowisku!

Aria „Non più andrai" nie odpowiada wcale tenorowi pieśni zemsty, nie stanowi jej ilustracji uczuciowo-nastrojowej — może zauważony w stadium późniejszej „chłodnej" redakcji brak istotnego związku ideowego między wtórem i pieśnią przyczynił się ostatecznie do skreślenia tej interesującej notatki reżyserskiej. Aria ta bowiem miała przypuszczalnie funkcję specjalną, zakulisową, a mianowicie kompensacyjno-moralną; są dane, że stanowiła ona pewien człon ukrytej w „Dziadach" spowiedzi. R. Blüth na podstawie analizy wiersza „Śniła się zima" dowiódł w głównych zarysach zupełnie przekonywająco, że poczucie winy Mickiewicza wobec powstania wiąże się z osobą Ewy Ankwiczówny. Poeta został w Rzymie, bo łudził się, że zdobędzie pannę. (Psychogeneza Snu w Dreźnie, „Przegląd Współczesny", 1925, maj i lipiec). Winę rzymską można także rozszerzyć na pobyt Mickiewicza w Wielkopolsce.

Ostatnią scenę dramatu, noc Dziadów, uważa się potocznie za pewnego rodzaju klamrę, łączącą część III z „Dziadami Kowieńskimi". W. Cybulski sądził, że dramat kończy scena VIII, czyli bal u Senatora. „Scenę ostatnią" — pisze — „uważam raczej za ogniwo, którym dramat jako tako, zawsze powierzchownie tylko, związany jest z innymi częściami poematu". („Dziady" Mickiewicza. Krytyczny rozbiór zasadniczy idei poematu, Poznań, 1864, str. 78). Jeszcze pewniejszy siebie jest J. Turczyński: „boć sobie w części trzeciej nie możemy nawet wytłumaczyć, po co ta część przychodzi jeszcze pod nazwą „Dziady", co te wszystkie sceny części drezdeńskiej mają wspólnego z gminną uroczystością „Dziadów". Autor tą sceną chciał związać niejako zewnętrznie część drezdeńską z częściami napisanymi w Kownie: ale uczynił to tylko powierzchownie". (Rozbiór dzieł A. Mickiewicza, Lwów 1873, Zeszyt 3, str. 207). O „zewnętrznym połączeniu" mówił też Chmielowski (A. Mickiewicz, Warszawa, 1886, II, 129). Najskromniejszy okazał się Sz. Matusiak, który był zdania, że w scenie ostatniej chciał poeta przedstawić pokutę pośmiertną prześladowców narodu (O „Dziadach" Mickiewicza, Lwów, 1903, str. 132, przypisek).

Tymczasem scena ta jest jednym z wewnętrznych punktów węzłowych, w którym zbiegają się oba najważniejsze motywy dramatu: ogólny, narodowy i osobisty, moralny.

To, że sobie jeden czy drugi badacz czegoś nie umie wytłumaczyć w dziele Mickiewicza, to w żadnym razie nie może obciążać Mickiewicza. Trzeba wychodzić ze stanowiska, że poeta tej miary co Mickiewicz, miał jakąś swą dobrą rację, skoro nie uciął poematu na scenie balu u Senatora. Co do mnie, to widzę najgłębszą łączność nie tylko między „Dziadami drezdeńskimi" i „kowieńskimi", ale także między sceną ostatnią III części a resztą dramatu. Ośmielam się nawet twierdzić, że, gdybyśmy poprzestali na tradycyjnej „luźnej" i „łącznikowej" interpretacji sceny ostatniej, przepadłby dla nas jeden z najbardziej konkretnych wątków poematu. Wątek świadczący o moralno-społecznym podłożu tego najbardziej zdawałoby się oderwanego od rzeczywistości, mistycznego dzieła Mickiewicza. Badanie rękopisów dowodzi zresztą niezbicie, że ta „powierzchownie-łącznikowa" scena należała od samego początku do głównego zrębu poematu. „Kobieta w żałobie" była we wcześniejszej redakcji „Dziewicą", związek tedy tej postaci z Marylą był pierwotnie wyraźniejszy. (por. Al. Rosenberg. Uwagi do III cz. „Dziadów". I. Rękopisy scen utworu. II. Listy poety, relacje współczesnych. Łódź, 1935, Zeszyt I, str. 26).

W „niepotrzebnej" ostatniej scenie III części, w nocy Dziadów, na pierwszy plan wysuwa się Maryla; przywodzi ona na pamięć ten sam grzech młodości, z którego spowiadał się Gustaw w części IV: przeniesienie prywatnego życia uczuciowego nad sferę publiczną. Czy słowa Figara o narcyzmie miłosnym (Narcisetto d'amor) nie określają dobrze stanu Gustawa? Przychodzą na myśl daremnie dawane niegdyś przez ukochaną nauki:

Słyszałem od niej słówek pięknobrzmiących wiele: „Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele".

Było to coś jakby „Cherubino alla vittoria, Alla gloria militar!"

Idźmy dalej w analizie winy erotycznej. „Dziady drezdeńskie" są utworem, w którym nie występuje miłość; kochanek Maryli przedzierzgnął się w kochanka Ojczyzny. jak to efektownie ujęła historia literatury. Miłości nie ma, to prawda, co najwyżej nieśmiałe, w stylu liryki wschodniej „kwiatowe" wyznanie uczuć dla Ewy. Co tedy ma znaczyć w „Prologu" pokusa erotyczna, widoczna w pochwale czarów nocy, wypowiedzianej przez „Ducha z lewej strony"? A zwłaszcza skąd się wzięło w tym poemacie poczucie winy miłosnej? Obie sceny sądu w „Dziadach" — motyw Komandora i motyw nocy „Dziadów" — są symbolami kary za przestępstwa miłosne. Komandor przychodzi ukarać Don Juana za to, że życie zamienił na fraszki, zabawy i przygody miłosne. Nie bez znaczenia jest widmo „Don Juana" w patriotycznej części „Dziadów". Dodajmy, że w oryginale tytuł opery brzmi drastyczniej: „Il dissoluto punito or il don Giovanni" (Rozpustnik ukarany czyli Don Juan). W wizjach nocy Dziadów zastanawia niepomiernie szeroko potraktowana kara Bajkowa, rozszarpywanego przez psy piekielne u stóp kochanki-diablicy. Jest to kara za wybujały erotyzm, mamy tu nawet coś niby rys miłości świętokradzkiej, jakby wskazywało na to przetworzenie przez Mickiewicza motywu Akteona. W każdym razie kara Bajkowa w przeciwieństwie do kary Doktora, nie wiąże się z jego rolą w procesie filareckim! Byłby to jakiś nieorganiczny wtręt! Poemat jej nie tłumaczy wprost. Wyjaśnić to mogłoby przyjęcie techniki spowiedzi dantejskiej, którą się posłużył Mickiewicz w dantejskim fragmencie „Dziadów drezdeńskich": oczyszczenie się z win własnych przez artystyczną ewokację grzechów cudzych.

Zjawienie się Maryli w utworze politycznym zostaje w pewnym związku z poczuciem winy erotycznej: wina wobec Ojczyzny, flirty rzymskie i wielkopolskie w czasie powstania listopadowego, była równocześnie zdradą miłosną wobec Beatryczy młodości. Sen Senatora, zmysłowego sługi świata bywa przeciwstawiany medytacjom i wizjom ks. Piotra oraz modlitwom i zachwyceniu Ewy, podobnie jak sen pobiesiadny stolicy cara czuwaniom nocnym Oleszkiewicza. Kto wie, czy i tu nie ma fragmentu spowiedzi, może nawet tej samej, co pobrzmiewa z wiersza „Do Marceliny Łempickiej":

...Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie, klęczącej przed Barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.

Do ważnej, dobrej spowiedzi należy obietnica zerwania z dawnym życiem i mocne postanowienie poprawy. Już przedtem umieścił Więzień na ścianie swej celi napis nagrobny Gustawowi i oznajmił narodziny Konrada. Jakby mało było tych symboli, podsunął poeta swemu bohaterowi akt postanowienia poprawy expressis verbis: Non più andrai... Nie będziesz więcej krążył, motylu miłosny...

Post scriptum.

Niniejszy fragment pracy o „Dziadach drezdeńskich" stanowił przedmiot odczytu, wygłoszonego dnia 20 października 1945 r. w Towarzystwie im. A. Mickiewicza w Krakowie.

Wojenne warunki, w jakich powstała praca o „Dziadach drezdeńskich" i zniszczenie bibliotek nie pozwoliły mi wyzyskać niektórych pozycji czasopiśmiennych. Nie udało mi się np. dotrzeć do felietonu Witolda Noskowskiego z „Dziennika Poznańskiego" na temat arii „Non più andrai", o czym wiadomość zawdzięczam prof. Romanowi Pollakowi. Nie znam też artykułów Przemysława Mączewskiego z „Il. K. C.", na które zwrócił mi uwagę taki biegły znawca mickiewiczianów jak L. Podhorski-Okołow. „Śpiewnik Mickiewiczowski" Urbanka udostępnił mi ze swych prywatnych zbiorów Fr. German ze Lwowa. Łaskawym informatorom składam na tym miejscu serdeczne podziękowanie.

Wacław Kubacki

»RZECZPOSPOLITA«
najstarszy dziennik Nowej Polski
drukuje autentyczne wspomnienia
pt.:
»Gwiazda generała W. Sikorskiego«
pióra
St. Strumph Wojtkiewicza
znanego literata, b. Szefa Biura Oświaty armii gen. Andersa w ZSRR i Kwatery prasowej Polskich Sił Zbrojnych w Londynie

ARTUR MARIA SWINARSKI

Powrót Alcesty*)

Sala w pałacu królewskim. Z prawej drzwi do jadalni, z lewej do innych pokoi. W głębi kilka kolumn, za nimi sień, ciemna. Na przodzie sceny otwór w suficie. — Przed południem.

(Otwierają się drzwi jadalni i zostają otwarte; słychać stłumione głosy biesiadujących. Z jadalni wchodzi stuletni Filemon, drobny, trochę pijany, ale trzyma się dobrze. Za nim idzie jego syn Feres, olbrzymi, tęgi, siedemdziesięcioletni, również pijany. Obydwaj na czarno)

FERES: Czemu wstałeś od stołu, tatusiu?

FILEMON: Musiałem.

FERES: Będą jeszcze ciasteczka z malinami.

FILEMON: Nie mogę.

FERES: Mdli cię, tatusiu?

FILEMON: Co to, to nie. Ale wolę już pójść. Kiedy mnie Admet namawiał, bym się zamiast niego położył do grobowca...

FERES: Ha ha, nie ma głupich!

FILEMON: Wtedy powiedziałem mu, że jestem taki słabiutki, taki kruchutki, że umrę przed nim, a nie zamiast niego. Więc —

FERES: Więc co, tatusiu?

FILEMON: Więc — —. Zapomniałem, co chciałem powiedzieć. Aha, już wiem. Więc mi teraz nie wypada siedzieć na stypie tak długo, jak młodym. **(Z udanym drżeniem w głosie:)** Widzisz: jestem taki słabiutki, taki kruchutki, — idę umierać... Ha ha ha.

FERES: Ha ha ha. Ale z tatusia kawalarz.

FILEMON: Kawalarz, nie kawalarz. Tylko że nie lubię grobowców rodzinnych. Wilgoć.

FERES: Mylisz się, tatusiu, w naszym suchutko, przewiewnie.

FILEMON: Mądrala! To czemuś się sam nie położył?

FERES: Pierwszeństwo należy się starszym, — tak mnie zawsze uczyłeś, tatusiu. Po tobie, po tobie, jeżeli jeszcze zostanie miejsce.

FILEMON: Wstydź się, smarkaczu!

FERES: Przepraszam, staruszku.

FILEMON: Staruszek, nie staruszek. Znałem takiego, co miał sto dziesięć lat, a jeszcze tańcował na weselu prawnuka.

FERES (nie dowierzając): I...

FILEMON: Gdyby mi tak zagrali, to kto wie, kto wie?

FERES: Mogę zagwizdać.

FILEMON: Jeszcze nóżki wcale, wcale. **(Klepie się po udach)**

FERES: A jak sobie Admet weźmie nową żonę, to potańcujemy.

FILEMON: Potańcujemy! potańcujemy! Hop hop... **(Robi kilka podrygów)**

FERES: Attyckiego, wywijanego... **(Kręci się w kółko)**

FILEMON: Beockiego, tupanego... **(Tupie)**

FERES: Spartańskiego, klepanego... **(Podskakuje, klepiąc się po pośladkach)**

FILEMON: No i naszego, tessalskiego, okrągłego... **(Chwyta Feresa za ręce; tańczą)** Hej hej — hop, hop, hop!

FERES: Hej hej! hop hop hop! I nas chcieli zapakować do grobu, ścierwa!

FILEMON: Niedoczekanie! Hej hej — hop hop hop!

(W sieni, między kolumnami, pojawił się Herakles)

HERAKLES: Przepraszam. **(Starcy przestają tańczyć)** Czy tu wesele?

FILEMON: Wesele, nie wesele...

FERES: Nie widzisz, żeśmy w żałobie? Pogrzeb.

FILEMON: Stypa. A ty czego?

FERES: I czemu śmierdzisz, kochanie?

FILEMON: Lwem. To ta skóra. Źle garbowana. Któż widział, przychodzić na pogrzeb w takim przebraniu!

FERES: Maskarada, czy co?

HERAKLES: Jestem Herakles.

FERES: Coś tam słyszałem. Rozwiązujesz szarady. Ach nie, to był Edyp.

HERAKLES (groźnie): Psa ognistego, Cerbera, uprowadziłem z piekieł!

FILEMON (naiwnie): A po co?

FERES: Może dla hycla to strój praktyczny, ale tutaj, w salonie...

HERAKLES: Gdzie Admet?

FERES: Opłakuje żonę. O — widzisz? **(Pokazuje przez drzwi jadalni)** Ten w koronie, to Admet. Tatusiu, podają ciasteczka z malinami. Wróćmy do stołu.

FILEMON: Nie mogę. Będę rzygał. Chodź! **(Wychodzą na lewo)**

HERAKLES (sam): Staruchy tańczące na pogrzebie młodej kobiety **(odwraca się w stronę widowni):** to, proszę państwa, nie tylko efekt teatralny. To powód do buntu. Może państwo są innego zdania, ludzie dwudziestego wieku, którzy macie do wyboru tyle religij, tyle wyznań, tyle subtelnych odmian wiary, a prócz tego jeszcze jedno, na co się Grecy zdobyć nie potrafili, mianowicie: możliwość nie wierzenia w nic. Lecz ja jestem człowiek prosty. Dla mnie starzec tańczący i młoda kobieta w grobie, to obłęd bogów. Ale bogów wyleczyć nie potrafię. Neurologia jeszcze w powijakach. Zbawienie człowieka zaczynam tedy od człowieka. I jak każdy zbawiciel, który chce zdobyć zaufanie ludzi, muszę robić cuda. Alcesta żyje. Chyłkiem wstąpiła do swego buduaru, by się przypudrować, nim wejdzie między ludzi. Państwo rozumieją: kobieta prosto z grobu... Zresztą musi także z przyczyn kompozycyjnych zostać jeszcze za kulisami, aż uprzedzę Admeta. Więc dla pośpiechu uprościmy sobie sprawę. Nie każę go przywoływać. Niech wystarczy informacja autora: „z jadalni wchodzi Admet".

(Z jadalni wchodzi Admet, trzydziestoletni, tłuściutki, rumiany i pijany. W żałobie jak Feres i Filemon; na głowie korona)

ADMET: O, cóż za gość niespodziewany!

HERAKLES: Wiesz, kim jestem?

ADMET: Oczywiście. Czuję się zaszczycony, że tak sławny bohater raczył przestąpić moje progi. Blask, bijący od twego imienia, Heraklesie, potrafi rozjaśnić nawet mrok i kir dzisiejszego dnia.

HERAKLES: Słyszałem. Żona twoja umarła.

ADMET: I to w okolicznościach osobliwych.

HERAKLES: Wolę nie pytać, w jakich... Admecie, żona twoja żyje.

ADMET (wytrzeźwiał od razu): Co? Czyżby się rozmyśliła?... Nie, nie, Heraklesie, żartujesz. Umarła, jak się należy. Pochowaliśmy ją. Wszystko w porządku.

HERAKLES: Nie bój się. Tobie już nic nie zagraża. Będziesz żył. Ale wydarzył się cud: Alcesta zmartwychwstała.

ADMET (niedowierzająco): Tyś ją wyciągnął z Hadesu?

HERAKLES: Byście byli znowu ze sobą szczęśliwi. Będziesz mógł jej dziękować przez długie lata.

ADMET: Chwileczkę, drogi Heraklesie... Taka niespodzianka... A gdzież ona teraz?

HERAKLES: Zaraz ci ją przyprowadzę.

ADMET: Czekaj. Rozumiesz, sytuacja nader oryginalna. Tutaj goście na stypie... a nagle nieboszczka wraca. Co jej powiedzieć? jak powitać?

HERAKLES: Może wystarczy milczenie.

ADMET: Całe życie milczeć nie można. A czym dłuższe milczenie, tym głupsze bywa potem pierwsze słowo.

HERAKLES: Spójrz jej w oczy i powiedz.

ADMET: Tego się właśnie boję. Bogowie! Jak ja jej spojrzę w oczy?

HERAKLES: Widzę, że nie cieszy cię powrót Alcesty.

ADMET: Ależ cieszy, cieszy. Przyprowadź ją. Tylko nie zostawiaj nas tak od razu samych. Musimy się na nowo przyzwyczaić do siebie. Idź po nią, idź...

(Herakles wychodzi do sieni, znika w mroku)

ADMET (sam): Tymi palcami zamknąłem jej oczy. Niby dwie poły kurtyny: tragedia skończona. Byłem aktorem tej tragedii — i trochę autorem. Aż tu nagle oczy się otwierają. Nowy dramat. Nie napisałem ani słowa. Jakiż on będzie? I jak mnie w nim obsadzą?

(Między kolumnami pojawia się Alcesta, urodziwa, powabna, strojna. I zdenerwowana. Za nią Herakles)

ALCESTA (wbiega do sali): No wiesz, Admecie, to skandal!

ADMET: O, zdążyłaś się już przebrać...

ALCESTA: Właśnie! Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała. Ubrać mnie do grobu w najgorszą suknię! W starą, niemodną, nawet cerowaną na plecach, jak ostatnią żebraczkę. **(Zwraca się do Heraklesa):** Przepraszam za ten wybuch, ale to niesłychane — co sobie musieli ludzie pomyśleć. Proszę siąść.

HERAKLES: Królowa była trochę oszołomiona, więc nie zdążyłem się dotąd przedstawić. Nazywam się Herakles.

ALCESTA: Domyślam się, domyślam. **(Podaje mu rękę)** Po stroju i uprzejmości dla pań. Ale ta skóra trochę zwraca uwagę. **(Woła):** Semiramido!

(Z lewej wchodzi Semiramida, stara piastunka Alcesty)

SEMIRAMIDA: Bogowie! młodsza pani... O, święty Gaga, święta Mecheche i wszyscy święci młodziankowie z siódmego raju! **(Rzuca się na kolana)** Dajcie naszej pani spokój wiekuisty, by nie wychodziła z grobu i nie straszyła w jasny dzień — o...

ALCESTA: Tylko, proszę, bez egzaltacji. Przy sposobności wytłumaczę. Niech Semiramida wstanie i zaprowadzi tego pana do pokoju gościnnego. Do żółtego. Kąpiel. Fryzjer. I niech mu pośle na pokój kilka przyzwoitych ubrań. **(Semiramida, jeszcze wystraszona, wstaje)** A potem prosimy miłego gościa na skromną zakąskę. Co macie dzisiaj na śniadanie?

ADMET: Przede wszystkim, droga Alcesto, trochę gości...

ALCESTA (idzie ku drzwiom na prawo): Rozumiem — stypa. **(Staje na progu jadalni)** Witam, witam. Cóż za liczne zgromadzenie. **(W jadalni nagła cisza)** Dziękuję państwu i do widzenia. **(W sali popłoch, słychać krzyki przerażenia, wywracanie stołków i kroki uciekających gości. Alcesta wraca na środek sali)** Sprosiłeś całą hołotę Tessalii, Admecie...

(Z jadalni, wystraszona i wystrojona, w żałobie, wchodzi Etra, matka Admeta; nie śmie podejść bliżej)

ETRA: Alcesto, czy to ty?

ALCESTA: Oj, zaczyna mnie to już nudzić. Zmartwychwstałam i tyle. **(Przygląda się Etrze)** Jak widzę, teściowa już zdążyła się zaopiekować moimi kolczykami... Czy aby nie zbyt wcześnie?

ETRA: Admecie, co to wszystko znaczy? Alcesta żyje?

ALCESTA: Żyje i jest głodna. Od śmierci nic nie jadłam. Semiramido! Na co Semiramida czeka? Proszę gościa zaprowadzić do łazienki.

(Semiramida, ogłupiała i szepcąca pacierze, wychodzi na lewo; za nią Herakles)

ADMET: Tak, mamo, to nasza Alcesta wróciła.

ALCESTA: I wy moglibyście się też poprzebierać. Patrzeć nie mogę na te czarne szmaty.

ETRA: Opowiedz, jak to było?

ALCESTA: Jestem już do cna zmęczona tymi wiecznymi indagacjami.

ADMET: To może się prześpisz?

ALCESTA: Dziękuję. Spałam w grobie.

ETRA: Wyładniałaś nawet.

ALCESTA: Niech się teściowa przestanie na mnie gapić. I w ogóle — nie mówmy o tym, co było. Chciałabym Admetowi oszczędzić przykrości.

ADMET: Odeszłaś przecież dobrowolnie.

ALCESTA: Czy ja wiem? Może wypadało tak zrobić? Zresztą, człowiek póki żyje, nie potrafi uwierzyć w śmierć. I jest ciekawy, co to właściwie śmierć. Chciałby raz spróbować, tak troszeczkę...

ETRA: I jak tyś to zrobiła, że ci się próba udała? Mów, mów, kochana. **(Wyjmuje kolczyki z uszu)** Tu masz swoje kolczyki i mów.

ALCESTA: Może je sobie teściowa zatrzymać na pamiątkę. I zmieńmy wreszcie temat. **(Do Admeta)** Pogrzeb się udał?

ADMET: Niczego. Owszem.

ALCESTA: Melanto płakała?

ADMET: Bardzo. I złożyła ci na grobie duży bukiet fiołków, które tak lubisz.

ALCESTA: Kwiaty sezonowe. Nie wykosztowała się. A Kreonostwo byli?

ADMET: Oczywiście byli. Zajechali czwórką gniadych.

ALCESTA: Pewnie po to tylko przyjechali, by pokazać zaprzęg.

ETRA: I chór ze świątyni śpiewał bardzo pięknie.

ALCESTA: A dużo wzięli?

ADMET: Nie oszczędzaliśmy. Toć to twój pogrzeb, najdroższa.

ALCESTA: Czyś ty sprowadził Heraklesa, by mnie wskrzesił?

ADMET: Nie wiedziałem nawet, że jest w pobliżu.

ALCESTA: Rzeczywiście! Gdzieby też tobie przyszło do głowy, posyłać po Heraklesa...

ADMET: Zlituj się. Przecie cudów nie można zamawiać, ani kupować.

ALCESTA: Tego włóczęgę Heraklesa trzeba zresztą czym prędzej spławić.

ETRA: Dlaczego? Miły młodzieniec i sławny.

ADMET: Jesteśmy mu zobowiązani do wdzięczności.

ALCESTA: Tak, ale jego matka pochodzi z bardzo podłej rodziny. No, a kto był ojcem Heraklesa, to już chyba tylko bogowie wiedzą. Jego mamusia na pewno nie wie.

ETRA: Mówią, że jest synem samego Zeusa.

ALCESTA: I teściowa wierzy w takie bajki? Reklama, nic więcej.

ADMET: A jego cuda?

ALCESTA (zmienionym głosem): Ja się go boję.

ETRA: Heraklesa?

ADMET: Gdyby nie on...

ALCESTA: Przegnajcie go czym prędzej. Bo on mnie wyprowadził z grobu. On przyszedł po mnie na tamten świat. On...

ADMET: Nowy kłopot... Niech przynajmniej wypocznie, coś przegryzie...

ALCESTA: On taki mocny... taki mocny! **(Przymyka oczy; na twarzy wyraz bólu i rozkoszy)**

ADMET: Hm... To może lepiej, żeby sobie poszedł.

ALCESTA. (budzi się, wraca do zwykłego tonu): Zresztą, niech zostanie. Chodźcie, jestem piekielnie głodna. Może coś ocalało po waszych gościach. **(Idzie w stronę jadalni)**

ETRA: Są już tylko ciasteczka z malinami. Ale każę ci upiec gołąbka. **(Wychodzą na prawo)**

(Po chwili z sieni wchodzi Herakles; głowa w lokach; strój kusy, szykowny)

HERAKLES (sam): Ofiarowałem szczęście kilku ludziom. Dzień dzisiejszy nie jest stracony. Alcesta rozpocznie życie jak święta. Admet od jej świętości zajmie się i zapłonie. I już nie będzie lękał się śmierci po życiu błogosławionym i dobroci pełnym. Niech będzie dzień dzisiejszy pochwalony.

(Tanatos z pochodnią zbliża się przez mrok sieni)

TANATOS: Ha ha, przyjacielu — bohater bez atrybutów bohaterskich?

HERAKLES (wesoło): Widzisz? Jak żyję, nie miałem na sobie takiego jedwabiu. Ale co ty tu jeszcze robisz?

TANATOS: To już mój urząd: być zawsze na zawołanie.

HERAKLES: Nikt cię nie woła.

TANATOS: Jeszcze nie wieczór.

HERAKLES: To nudne zajęcie, Tanatosie, ciężki kawałek chleba: tak chodzić po świecie — i gasić pochodnię. A patrz: tu wokoło szczęście. I skąd ono się wzięło? Tylko z tego, żeś się raz wycofał, Tanatosie.

TANATOS: Masz rację. Alcesta jest bardzo głupia. Więc nie zrozumie, co ją spotkało. Tego misterium. Tego naruszenia praw. Całkowite szczęście jest możliwe tylko przy całkowitej głupocie. Kalibany dopóty są szczęśliwe, dopóki nie zaczynają myśleć. I przeklinają swych Prosperów... A więc, Heraklesie, chcesz zbawić ludzi, to naucz ich głupoty!

HERAKLES: Bardzo efektowne powiedzenie.

TANATOS: To tak na zakończenie aktu...

(Kurtyna spada).

Artur Maria Swinarski

*) Akt pierwszy farsy filozoficznej (w 3 aktach z prologiem).

WIERSZE MŁODYCH POETEK

MARTA ALUCHNA

Inna wiosna

Kiedy naiwnym zwyczajem
ogrody zakwitną majem,
zakipi w pasji słońca
ziemia, zielenią wrząca,
i spręży się do skoku
w szumiącą, bzową pełnię —
— zostawisz sierocy dom
szalejącym u płota bzom
ty, któryś uszedł spod ściany
przez twoje żywe ciało
w kawały rwanej,
i wyjdziesz z śmiertelnej matni
nocy i dni osaczonych
inną wiosnę zdobywać
z granatem w dłoni,
min głębię lazurową
otworzy nad twoją głową
dzień
ostatni.

Warszawa, marzec 1944

ANNA POGONOWSKA

* * *

Nie chcę jeszcze śmierci. Poczekam.
Przedtem muszę spotkać człowieka.
W jego ciele, w jego dotyku
Będę ginąć i nie zanikać.

Chmury wodzą się niebem białym.
Gwiazdy rzeszą ptaków zleciały.
Razem z wiatrem ulicą drepczę —
Istnieć — będę umiała wiecznie.

Okna puste — powietrzem płyną.
Dom się życia uczy ruiną —
Gałąź z grobu wyrasta wiotka,
Co dzień z niebem musi się spotkać.

1943

AKWILINA GAWLIK

Niepokalana

Postawili przed laty dwudziestu
na deseczce
malowaną, gipsową, laleczkę.
Panienko,
pod murem trwasz cicha.
Niepokalana, dziewica.

Na mnie
pocałunki spadały czerwone,
jak kwiaty polne do twych stopek.
Świeciły
płomieniem dla ciebie palonych świeczek.
Gdy noc na ciele mym
szczęściem znaczyła gwiazdy krwawe,
myślałam,
bezbarwnaś, nijaka,
biedna.

Zmęczyły mnie długie noce,
tyś cicha.
O glob wsparta twoja mała stopa,
panienko.
Weź do ręki wszechświat moich żądz,
niech samotny krąży planet szlakiem,
a ja czysta
— pozwól —
będę z tobą spokojna.

TEOFIL WITEK

Ruch odrodzenia narodowego

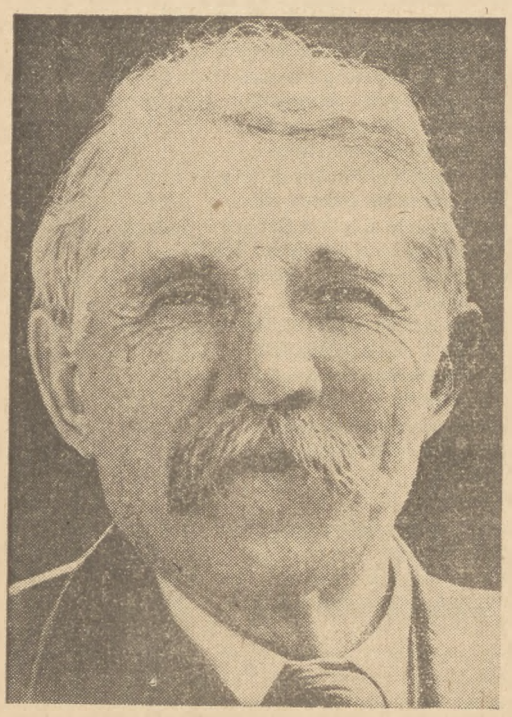

MARCEL CACHIN,
jeden z francuskich przywódców komunistycznych

Komunistyczna Partia Francji jako masowy ruch intelektualny i polityczny, ujęty w potężną i sprawnie działającą organizację, należy — poza Związkiem Radzieckim — do najsilniejszych partyj komunistycznych na świecie. Na czym polega jej siła? Dlaczego przyciąga nie tylko rzesze robotnicze, ale i szerokie koła francuskich intelektualistów i francuskiej inteligencji? Na te pytania daje odpowiedź broszura Rogera Garaudy: „Komunizm i odrodzenie kultury francuskiej", wydana przez „Książkę" w przekładzie J. Kotta.

Nie jest już chyba dzisiaj dla nikogo tajemnicą, że w okresie międzywojennym ruch komunistyczny wskutek wielu błędów taktycznych i sekciarstwa, wynikającego ze stosowanych względem tego ruchu policyjnych represyj i zepchnięcia go w podziemia w większości kapitalistycznych krajów Europy, oderwał się częściowo od narodów, wśród których działał, tracąc nie tylko popularność, ale i siłę.

Wbrew istotnym założeniom komunizmu, a wskutek owego sekciarstwa i wściekłej, nie przebierającej w środkach i metodach propagandy antykomunistycznej utarło się w społeczeństwie z gruntu fałszywe przekonanie, że komunizm głosi i niesie zagładę wszystkich dotychczasowych wartości kulturalnych, etycznych, moralnych i cywilizacyjnych człowieka. Mało tego. Mówiono, że zamierzeniem komunizmu jest w ogóle niwelacja indywidualności człowieka. Stąd też ideologię komunistyczną proklamowano jako na wskróś antyhumanistyczny kierunek, który wyobrażano sobie w postaci „człowieka z nosem w zębach".

W istocie jednak komunizm był i jest wynikiem i wyrazem wielkiej, postępowej myśli ludzkiej. Prekursorami marksistowskiej myśli są nie tylko Marx i Engels, utopijni socjaliści i przedstawiciele klasycznej ekonomii politycznej; korzenie marksizmu wyrastają tam, gdzie znajdują się źródła współczesnej nauki i postępu, zwalczanego z równą zaciekłością we wszystkich epokach: „Heraklit, największy z pierwotnych materialistów, został zamordowany; z ascety Epikura „prawomyślni" wszystkich epok chcieli uczynić wstrętnego rozpustnika; jeszcze w IV w. św. Hieronim obrzucał nienawistnymi obelgami Lukrecjusza i usiłował uczynić z niego szaleńca, twierdząc, że poematy swoje tworzył jedynie w przerwach pomiędzy atakami obłędu; Giordano Bruno, prekursor współczesnego materializmu w epoce Odrodzenia, został spalony na stosie; Kartezjusz był na wygnaniu; wszyscy Encyklopedyści poznali Bastylię; co do marksistów współczesnych, byli oni tymi, którzy w obronie wolności zapłacili największą cenę cierpienia i śmierci".

Zawsze bowiem upadający system i reprezentująca go klasa społeczna w obawie przed burzącą myślą naukową szuka ocalenia w szerzeniu zwątpienia w naukowę prawdy, w relatywizmie i sceptycyzmie, w zamykaniu myśliciela w ciasnym kręgu abstrakcyjnych idei, w ucieczce od rzeczywistości. „Gdy świat kroczy naprzód, każda myśl krytyczna i prawdziwa służy mu i umacnia go; gdy świat jest przewrócony na opak, nauka i myśl są jego wrogami, gdyż oświetlają chaos, wydobywają na jaw sprzeczności i przepowiadają zagładę". Myśl wtedy tylko jest wielka, gdy jest twórcza. Kapitalizm niszczy twórczą naukę — oto pierwszy zarzut ze strony wielkich intelektualistów pod adresem kapitalizmu.

Kapitalizm niszczy wielką sztukę, która, według Tołstoja, jest mową uczuć i wymaga zjednoczenia artysty z odbiorcą. „Dzieło sztuki jest tym potężniejsze, im bardziej jest echem tłumów". W ustroju kapitalistycznym piękno, jak i cała praca ludzka stała się towarem w ręku tych, którzy mogą płacić, to znaczy w ręku drobnej warstwy próżniaków i pasożytów. Dla zepsutego zaś próżniaka to ma największą cenę, co najwięcej odchyla się od naturalności. Nie tylko więc w nauce, ale też i w sztuce pragnie upadająca klasa ratować się ucieczką od rzeczywistości. „Ustrój kapitalistyczny wykrzywia i łamie drogę artysty, który nie rozwija się według wewnętrznych praw swego powołania, lecz zgodnie z prawem podaży i popytu". Tymczasem prawdziwy artysta odczuwa potrzebę związku ze swoim narodem, „tak jak drzewo z ziemią, która je żywi".

Na tle niemożności działania, tworzenia, istnienia, rodzi się u naukowca lub artysty rozpacz, która znajduje ujście w dyletantyzmie, ironii, sceptycyzmie, anarchii lub samobójstwie. Rozpacz, zwątpienie i osamotnienie — oto dramat intelektualisty zawiniony przez kapitalizm.

Istotny sens wszelkiej twórczości naukowej polega na wykrywaniu praw rządzących przyrodą i zużytkowaniu zdobytej wiedzy dla dobra i dalszego postępu ludzkości. Materializm dialektyczny jest tą właśnie naukową metodą myślenia, która pozwala pokonać zwątpienie. „Dał on w praktyce dowód umiejętności naukowego przewidywania i skuteczności technicznej. Jego metoda, zastosowana do życia społecznego, uczyniła z polityki naukę lub dokładniej technikę naukową. Tak samo jak fizyka jest fundamentem dla techniki inżyniera, a biologia dla techniki lekarza, począwszy od Marxa historia staje się fundamentem dla techniki pracodawcy i polityka". Materializm dialektyczny otwiera przed pracownikami naukowymi wspaniałe perspektywy wiedzy prawdziwej, wiedzy twórczej, wiedzy społecznie użytecznej, wiedzy, która jest motorem postępu. Myśl ludzka w służbie takiej wiedzy nie ucieka nawet przed najbardziej ponurą rzeczywistością, nie załamuje się w zwątpieniu, nie zamyka się w „samotnych geniuszach", ale śmiało mierzy się z rzeczywistością, a zaszczepiona masom jest najpotężniejszą siłą; staje się duszą odrodzenia narodowego.

To samo odnosi się do dziedziny twórczości artystycznej. „Wartość jednostki — pisał Maksym Gorkij — jest tym znaczniejsza, im bardziej jest ona zdolna wchłonąć i wytłumaczyć przy pomocy obrazu i idei energię twórczą mas. Energia ta ogarnia jednostkę, która z kolei przekazuje ten ładunek masie". „Dzieło artystyczne — mówi Garaudy — nie jest zjawiskiem jednostkowym, lecz społecznym; artysta rozwiązuje mniej lub więcej świadomie problemy, postawione nie przez siebie, lecz przez społeczeństwo. Problemy te określają jego świadomość. Literatura jest dla społeczeństwa tym, czym świadomość dla jednostki". Powstające i postępowe klasy nie mają powodu obawiać się rzeczywistości. Przyjmują one realizm, jako swój punkt widzenia. „Nowa publiczność żąda nowej sztuki. Nie wystarczają jej przeglądy erotyczne, komedie przyspieszające trawienie lub łzawe melodramaty. Trzeba sztuki, która pobudza umysł, zamiast go usypiać. Sztuka nasza będzie wtedy wielka, jeśli poruszy czytelnika". W tym ujęciu sztuki teatr — zdaniem Gémiero — to kościół społeczny, gdzie przez kult wszystkich połączonych ze sobą sztuk lud powinien zyskać świadomość własnych losów. Tylko przez zespolenie się z własnym narodem, przez tworzenie sztuki społecznie użytecznej może artysta stworzyć dzieła nieśmiertelne. Praca artysty jest taką samą służbą społeczną jak praca naukowca. Wszelkie formalistyczne estetyki, charakterystyczne dla zamierających klas i ustrojów, jak: sztuka dla sztuki, to znaczy sztuka bez istoty człowieczeństwa, hermetyzm schyłkowców, nadrealizm, dadaizm, wszystkie formy duchowego rozkładu skazane są na bezużyteczność społeczną, a więc na upadek.

Marksizm walczy więc nie tylko o zachowanie dotychczasowych wartości cywilizacyjnych, zagrożonych przez gnijący kapitalizm, lecz także dąży do ich dalszego rozwoju. Mając na uwadze również wszechstronny rozwój człowieka, chce „zwrócić mu zdolność budowania i przetwarzania samego siebie i dlatego pragnie uwolnić go od wszystkiego, co hamuje jego rozwój fizyczny i duchowy". Rewolucja mieszczańska „potwierdziła wartość jednostki w stosunku do tego wszystkiego, co ją niszczy i ogranicza. Nowy humanizm tworzy etap historyczny człowieka — wystąpienie zbiorowości. Walcząc z więzami hierarchii feudalnej, indywidualizm mieszczański upomniał się o prawo do samotności. Walcząc z dżunglą apetytów i współzawodniczących ambicyj, które ścierają się na próżno w ustroju kapitalistycznym, humanizm komunistyczny zaspokaja potrzebę „wspólnoty ludzkiej" — która określa wolność jednostki.

„Komunizm przynosi dla wszystkich: naukową metodę myślenia, która pozwala zwyciężyć zwątpienie, możliwości zjednoczenia z narodem, a więc przełamania samotności, oraz nową formę humanizmu, zdolną do wcielenia w życie" — oto kwintesencja książki Rogera Garaudy.

Myśl francuska, wychowana na rzymskich tradycjach dążenia do porządku, na szlachetnym niepokoju, zrodzonym z chrześcijaństwa z jego wiarą, miłością, marzeniem i nadzieją, zapłodniona nowymi wartościami wieku Oświecenia, Encyklopedystów i Wielkiej Rewolucji szukała „umiejętności wchłonięcia całej przeszłości kultury francuskiej i odnowienia jej dzięki wybraniu najbardziej świadomych, konsekwentnych, najbardziej namiętnych i budujących sił motorycznych odrodzenia francuskiego" i znalazła ją w komunizmie, który przez przejęcie całego dziedzictwa duchowego Francji stał się krwią z krwi i kością z kości narodu francuskiego. Uniwersalizm i internacjonalizm ideologii komunistycznej nie przeszkodził Komunistycznej Partii Francji stać się najbardziej narodowym ruchem. W jego szeregach znaleźli się najlepsi synowie Francji, począwszy od światowej sławy intelektualistów, jak Romain Rolland, Henri Barbusse, Louis Aragon, Edouard Joliot-Curie, Paul Langevin, a skończywszy na takich politykach, jak: Marcel Cachin, André Marty, Jacques Duclos lub Maurice Thorez.

*

Przejdźmy teraz od Francji na grunt polskiej rzeczywistości. Myśl polska nie była niestety wychowana na tak wspaniałych tradycjach, jak francuska. Pod względem rozwoju społeczno-gospodarczego jesteśmy w porównaniu z Francją spóźnieni. Spóźnienia historyczne występują we wszystkich dziedzinach życia narodowego: w gospodarce, w polityce, w nauce i sztuce. Wtedy, kiedy myśl francuska po całkowitym zerwaniu przez Wielką Rewolucję okowów feudalizmu, w okresie pełnego rozkwitu i przekwitu mieszczańskiej kultury i cywilizacji szukała nowych dróg rozwoju i postępu dla narodu francuskiego, myśmy dusili się w mrocznej atmosferze na wpół feudalnych stosunków. To, co we Francji było już piosenką przeszłości, przeżytkiem, stawało się zacofaniem, u nas uchodziło za rewolucyjne, wywrotowe. Myśl marksistowska w Polsce — kraju kulturalnie zacofanym, gospodarczo niedorozwiniętym, politycznie niedojrzałym — nie mogła zapuścić głębokich korzeni w szerokich sferach polskiej inteligencji i z konieczności zamknęła się w ciasnym gronie sekciarstwa, odgradzając się od nienawistnego i nienawidzącego otoczenia. Stąd marksizm okresu międzywojennego nie mógł się też w Polsce unarodowić. Nietolerancja wszelkiej nowoczesnej myśli postępowej, paniczny strach przed jej konsekwencjami i zaciekła klasowa nienawiść do tzw. lewicy przysporzyła wiele szkód kulturze narodowej, narodowej gospodarce i narodowej dojrzałości politycznej.

Dopiero po największym kataklizmie w historii naszego narodu wkroczyliśmy na nowe drogi rozwojowe, które tak samo, jak we Francji, otwierają przed narodem polskim wspaniałe perspektywy cywilizacyjne. Wzajemne uprzedzenia obydwóch obozów — obozu przeszłości i obozu przyszłości — stwarzają wiele przeszkód, wśród których postępowa myśl polska z trudnością toruje sobie drogę do polskich serc i umysłów.

Dla jak najszybszego rozwiania wzajemnych nieporozumień i uprzedzeń chcemy zaapelować do wszystkich ludzi dobrej woli strawestowanymi słowami autora omawianej książki:

Obóz demokratyczny ukazuje się dzisiaj wszystkim Polakom jako siła konstruktywna i twórcza. We wszystkich dziedzinach życia jest on skupieniem energii narodowej i motorem odbudowy. Dla wszystkich tych, którzy nie oddzielają od siebie miłości ludu, miłości wiedzy i miłości ojczyzny, obóz ten nie jest jedynie siłą, jest on prawdą. Wyrósł on z miłości do narodu i za swój cel najwyższy uważa dobro tego narodu. Oto wspólne dla nas wszystkich zadania:

Nasze niedożywione dzieci noszą w swoich ciałach ślady doznanego niedostatku; powrót milionów wycieńczonych jeńców i więźniów jeszcze bardziej zaostrza sprawę zdrowia fizycznego narodu. Czy nasi lekarze gotowi są podjąć na nowo wysiłki i poszukiwania, które by umożliwiły powrót do zdrowia samego serca narodu?

Dziesiątki naszych miast i wsi zostały zniszczone. Czy architekci myślą już o odbudowaniu tych ruin i czy zamierzają odwołać się do inicjatywy robotników, którzy tak bardzo przyczynili się do odbudowy naszych mostów i fabryk?

MAURICE THOREZ,
sekretarz generalny Francuskiej Partii Komunistycznej

Sześć lat sabotażu, przymusowej bezczynności w więzieniach, w obozach, odzwyczaiło od pracy tysiące, być może miliony młodych ludzi. Czy psychologowie, lekarze, przywódcy związków zawodowych zechcą złączyć swoje myśli i prace, aby stworzyć metody i ośrodki kształcące i dokształcające fachowców niezbędnych dla puszczenia w ruch naszej gospodarki?

Czy nasi dziennikarze zdają sobie sprawę z ogromu swojej pracy, która nie jest pracą szalbierzy, komediantów lub demagogów, lecz inżynierów dusz? Czy wiedzą oni, że zadanie ich polega na tym, aby rzucać wyzwanie każdego ranka stu tysiącom Polaków: „A ty co zrobiłeś dla zwycięstwa"?

Czy nasi nauczyciele i profesorowie zabrali się do przygotowania podręczników szkolnych, które by wymiotły z naszych szkół resztki rasizmu i faszystowskiego wsteczności?

Czy nasi agronomowie opierając się na doświadczeniach i wiadomościach swoich i chłopów zastanawiali się nad sposobami ratunku ziemi polskiej, wyczerpanej brakiem nawozu?

Czy nasi inżynierowie gotowi są zrozumieć wbrew ogłupiającym zasadom Taylora, że praca myślącego robotnika jest znacznie wydatniejsza, tak jak armia, złożona z żołnierzy myślących, jest silniejsza? Czy są gotowi wspólnym wysiłkiem rąk i mózgów razem z radami zakładowymi pokierować produkcją?

Czy nasi pisarze i artyści poznali nowego człowieka, człowieka walki i czy chcą go w pełni wyrazić i to zarówno jego życie zewnętrzne — zakończone myśli i wykonane czyny, jak i wewnętrzne życie — zwątpienia i poryw duszy, jak troski i nadzieje?

Jeżeli myśli i wysiłki, zrodzone w głębiach naszego ludu, nie zostaną zjednoczone i odpowiednio skierowane, inteligencja polska pozostanie jałowym ugorem i jedno z naszych największych bogactw zostanie roztrwonione.

Wszystkie siły duchowe Polski znajdą właściwe sobie miejsce w wielkim dziele odrodzenia. Nigdy nie przestaniemy powtarzać, że nie zamierzamy pozbawić Polski żadnej z jej wartości duchowych. Dlatego też nie gardzimy i nie drwimy nigdy z chrześcijanina, z jego wiary, miłości, marzenia lub nadziei.

Dlatego właśnie rozumiemy nędzę i troski ludzkie, dlatego rozumiemy także, że w beznadziejnych godzinach, gdy ludzkość czuła się bezsilna — marzenie człowieka o sprawiedliwości i czystej miłości poza tą „doliną łez" było rzeczą nieuniknioną i piękną. Stawiamy sobie za cel pracę i walkę o ziszczenie najpiękniejszych marzeń i najdalszych nadziei człowieka. O ziszczenie prawdziwe i realne, aby nawet chrześcijanie znaleźli na naszej ziemi początek swego nieba.

Teofil Witek

Zaprenumerować „ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

Korespondencja

WIELKA REFORMA DLA WSZYSTKICH
Do redaktora „Odrodzenia"

Tak już jest na świecie, że człowiek myśli i rozumuje z zasięgu „swego podwórka", z kręgu swoich zainteresowań. Przyswajając sobie rzeczy czytane znajduje w nich czasem odpowiedź na dręczące go pytania, a czasem uderzą one jak promykiem światła w mroczny kąt spraw nieprzemyślanych.

Tak też było ze mną i z artykułami Franciszka Gila z nr 64 pt. „Chłopskie gimnazjum w hrabskim pałacu" i „Ziemia, ziemia"... w nr 67 „Odrodzenia".

Mimo całej nienawiści, a może raczej głębokiej wzgardy, jakie odczuwałam dla Niemców za ich wyzucie z człowieczeństwa, w ciągu lat okupacji nie mogłam się pozbyć uczucia podziwu i uznania dla ich organizacji i umiejętności praktycznego wykorzystania zdobyczy.

Imponowało mi to może tak bardzo, bo z brakiem jednej i drugiej spotykałam się zawsze w naszym społeczeństwie, na każdym kroku i na całej wysokości drabiny społecznej, tak dalece, że uważam je dziś za największe i bardzo poważne wady narodowe. W nich to znajduję tę pierwszą „nieuczoną" odpowiedź w całej naszej historii na przestrzeni wieków, na wszystkie zwycięstwa nie wykorzystane, prawa nie przestrzegane, czy reformy nieudolnie przeprowadzone.

A tu tymczasem artykuł jeden i drugi i trzeci, który mi się narzucał, kazał o sobie myśleć, zmuszał do odczytywania po raz drugi. Szukałam wątku i w innych pismach. Prócz wspomnianego opisu gimnazjum w pałacu znajdowałam sprawozdania z urządzanych ferm wzorowych, czy stacji doświadczalnej w tej samej pięknie rozwijającej się ziemi rzeszowskiej.

— Tak, powtarzałam sobie. Przecież nieledwie co druga wieś ma dwór. 10% musi odpaść jako nie nadające się do wykorzystania, ale ta wielka reszta?

Z przerażeniem przeczytałam czarno na białym jędrne określenie chłopa z Zalesia cytowane przez ob. Gila w jego ostatnim artykule.

Więc jeszcze nie dosyć zniszczenia i ruin, będziemy sami dobrowolnie, własnoręcznie niszczyć do dna wszystko?

I znów jeden egzamin więcej nie zdany przez społeczeństwo? A przecież można by wykorzystać te ośrodki tak bardzo pożytecznie!

W latach 1938—39 miałam córkę w państwowym gimnazjum im. Król. Jadwigi we Lwowie. Pracowałam sama na utrzymanie rodziny i nie mogłam brać czynnego udziału w pracach koła rodzicielskiego. To więc, z czym się chcę podzielić z czytelnikami, może być niezbyt ścisłe w szczegółach, ale da ogólne zarysy zdrowej myśli społecznej.

Nie potrafię więc podać kiedy powstała ta inicjatywa i kto ją wprowadził w czyn. Wiem natomiast, że koło rodzicielskie tegoż gimnazjum kupiło, czy też wydzierżawiło przed laty ośrodek w Starzawie koło Stryja. Był to obszerny dom z ogrodem w pięknej podgórskiej okolicy. W ciągu roku szkolnego wyjeżdżały tam nasze dzieci, każda klasa na tydzień do 10 dni dwukrotnie: w jesieni i na wiosnę. Wyjeżdżały zazwyczaj z gospodynią klasy, nauczycielką przyrody lub wychowania fizycznego i dwoma matkami z koła rodzicielskiego. Jedna z matek obejmowała na ten czas dział odżywiania, a więc kuchnię, mając do pomocy żonę woźnego, zatrudnioną tam stale jako kucharka. Mąż jej spełniał obowiązki stróża i ogrodnika. Druga matka miała sobie poruczone utrzymanie porządku w domu i pomoc w pracy wychowawczej. Plan dnia był ściśle przestrzegany. Po lekcjach odbywanych zależnie od pory roku i pogody: w sali, na dużej werandzie lub w ogrodzie następowały ćwiczenia sportowe i wycieczki w okolicę. Dziewczynki bardzo lubiły te wyprawy. W miesiącach zimowych królował biały sport. Miesiące letnie wykorzystywano na obozy wakacyjne o innym już charakterze.

Z radością patrzyłam zawsze na zaróżowione twarzyczki powracających uczennic.

Zdawałam sobie jasno sprawę z mądrej inicjatywy tego przedsięwzięcia i z jego dodatnich stron, jak również z ogromnych możliwości wychowawczych, nie mówiąc już o tych ważnych drobiazgach jak życie się dziewcząt z wychowawczyniami i między sobą podczas tych krótkich wprawdzie, ale tak miłych dni spędzonych razem w oderwaniu od trudnych nieraz i szarych warunków domowych codziennego otoczenia.

Czy to nie byłaby chwila po temu, żeby wykorzystać szerzej jedyną w swoim rodzaju okazję?

W każdym dworze nie może być gimnazjum ani szkoła rolnicza, czy też ośrodek zdrowia — nie musi też być klub, bo na to są tak zw. domy ludowe i czytelnie w każdej już prawie wiosce, ale każda szkoła w mieście może mieć swój **własny dom na wsi**, w którym dzieci robotników i inteligencji z miasta znajdą wspólny język ze wsią, niezapomniane wrażenia, kruszynę zdrowia i — dużo radości.

Nie wyobrażam też sobie nieprzezwyciężonych trudności w realizacji tego projektu. Każdy urząd ziemski ma spisy obiektów swego okręgu i potrzebną egzekutywę. W kole rodzicielskim każdej szkoły znajdą się ludzie energiczni i dbali o dobro swoich i setek innych dzieci, a potrzebne fundusze, jeśli odpadnie koszt budowy czy kupna takiego domu, zmieszczą się w budżecie koła rodzicielskiego.

A więc trochę tej zdrowej inicjatywy i krzynę dobrej woli — a nie zmarnujemy tego, co się samo pcha w ręce.

Niech robotnika i inteligenta, pracujących w mieście, dosięgnie również w sposób bezpośredni dobrodziejstwo reformy rolnej w kraju.

Helena Devechy (Kraków)

JESZCZE W SPRAWIE BARBARYZMÓW
Do redaktora „Odrodzenia"

W liście do redakcji „Czy monopol na barbaryzmy" („Odrodzenie", nr 68) p. Jerzy Milewski wyraził żywe zaniepokojenie, czy aby w mojej pracy krytycznej „O poetyce Antoniego Słonimskiego" nie popełniłem „gafy" twierdząc jakoby, że poeci „szarego człowieka" mają wyłączny monopol na używanie barbaryzmów. Zmuszony jestem uspokoić p. Milewskiego. Gafy nie popełniłem. Wszystko jest w porządku. To tylko p. Milewski zdaje się nie rozumieć metodologicznych założeń i ustaleń mego artykułu, wyczytując w nim to, co nie było bynajmniej napisane. Aby więc rozwiać niepokój i wyjaśnić pewne rzeczy, które — widocznie w swej naiwności — uważałem za wystarczająco jasne — precyzuję, zgodnie z wezwaniem, moje stanowisko w tej sprawie.

Nigdy nie twierdziłem, aby Antoni Słonimski — czy inni poeci mieszczańskiego „szarego człowieka" — mieli wyłączny monopol na używanie barbaryzmów i sprawdzić to może łatwo każdy uważny czytelnik mojego artykułu. Zagadnienie barbaryzmu znane jest już chyba od czasów Arystotelesa i wiadomo, że powyższa właściwość stylistyczna występuje zarówno u klasyków jak i romantyków, realistów czy symbolistów, mieszczańskich poetów „szarego człowieka" jak i rewolucyjnych pieśniarzy proletariatu. Są to rzeczy zbyt oczywiste, aby je podkreślać.

Chodzi tylko o to, jakie funkcje spełnia barbaryzm w strukturze dzieła literackiego, jaka jest jego rola, jeżeli chodzi o całość wyrazu stylistycznego i o ile — jako chwyt techniczny — odsłania on wizerunek duchowy autora. U Puszkina, gdy w „Eugeniuszu Onieginie" powiada: „No pantałony, frak, żilet, — wsiech etich słow po — russki niet", mamy do czynienia z efektem komicznym. Tę samą funkcję posiada często barbaryzm u Heinego, stanowiąc równocześnie nieraz ironiczną charakterystykę środowiska lub postaci, jak np. w owym znanym wierszu, gdzie „Die Gräfin spricht wehmutig: — Die Liebe ist eine Passion!" Gdy w III części „Dziadów" na balu u Senatora splata się w rytmicznym współbrzmieniu — jak para różnonarodowych tancerzy spleciona w tańcu — wiersz polski z wierszem francuskim, to jest to na pół muzyczne, pełne dysonansów i zuchwałych kadencyj komponowanie dusznej, niesamowitej atmosfery, którą w końcu rozładuje rozdzierający krzyk Rollisonowej i uderzenie pioruna zabijającego Doktora. Czyżby te, pierwsze z brzegu, przykłady dowodziły, że to poeci romantyczni mają monopol na używanie barbaryzmów? P. Milewski będzie zapewne uważał, że tak. Lecz równie łatwo możemy wykazać istnienie tego zjawiska i u prozaików-realistów. Tomasz Mann każe Hansowi Castorpowi i Klaudii Chauchat w ów niezwykły wieczór zapustny na „Czarodziejskiej górze" prowadzić długą rozmowę niemal całkowicie w języku francuskim. I ten przedziwny dialog na najintymniejsze i najbardziej zawiłe kliniczne tematy, ma swój głęboki sens artystyczny nawet jeżeli czytelnik nie zrozumie jego pierwszego gramatycznego sensu. Jest w ścisłej zgodzie z całą tajemniczą, szaloną, niezrozumiałą atmosferą zaczarowanej nocy i zaczarowanego świata. W jednej z najświetniejszych powieści polskich doby międzywojennej, w „Cudzoziemce" Kuncewiczowej, warstwa językowa dzieła jest na wskroś przeorana obcymi elementami. Całe zespoły słowne i zdaniowe rosyjskie, niemieckie, angielskie, francuskie, włoskie, rozbijają jednolitość semantyczną powieści odzwierciedlając w wyrazie językowym to samo, co zawarte jest w strukturze i w treści: nerwową, chorą, rozbitą psychicznie osobowość bohaterki Róży. Wniosek: realistyczni i neorealistyczni prozaicy mają monopol na używanie barbaryzmów. Czyżby?

Nie jest więc ważne czy się stosuje barbaryzmy i kto je stosuje, ważne jest w jakim celu to się czyni i jakie aspekty ideowo-społeczne odkrywa u twórcy ta strona jego poetyki. U Słonimskiego barbaryzmy są ucieczką dławionego szarzyzną codzienności w świat egzotycznej, nadzwyczajnej przygody i to starałem się w mej pracy udowodnić. Wnioskowanie jednak z tego, że u każdego twórcy stosowanie barbaryzmów oznacza mieszczańską ucieczkę od rzeczywistości, byłoby równym nonsensem jak np. twierdzenie, iż użycie słowa „serce" w kontekście literackim oznacza przynależność autora do szkoły romantycznej tylko dlatego, ponieważ Mickiewicz powiedział „Miej serce i patrzaj w serce". Niewątpliwie, także i Majakowski używał barbaryzmów (chociaż zapewne nie tak często i nie w ten charakterystyczny sposób jak Słonimski), ale u niego mają one inną funkcję i o czymś innym świadczą. Poezja Majakowskiego jest szorstka, chropowata, niemal pierwotna. Jest w niej zuchwały gwizd ulicznika, gardłowy krzyk agitatora, czasem jarmarczna swada proletariusza. Obce słowo czy zwrot nie jest tutaj czymś niedopasowanym i w leksyce utworu sztucznym. Zawiera się w nim nieco brutalna ale zwycięska w poczuciu swej potęgi pewność, że każdy strzęp przychwyconego na gorąco życia zawiera cząstkę jego triumfującej prawdy i że obcość jest tutaj tylko odmienną formą tej samej radości istnienia. Barbaryzm u Majakowskiego jest wyrazem siły, podczas gdy u Słonimskiego wyrazem słabości. U Słonimskiego gładka, jednolita, mechaniczna melodyjność rytmiczna i językowa zostaje nagle załamana obcym, wrogim jej elementem i to jest dla Słonimskiego jedyna szansa wywalczenia w beznadziejnej codzienności jakiejś przynajmniej złudy bohaterstwa i niezwykłości. Jakże inaczej u Majakowskiego, u którego jego „Black and white" nie jest bynajmniej wyrazem rozpaczliwej tęsknoty do dalekiego egzotyzmu lecz dumnym i zwycięskim poczuciem swojej rodzimej jednokolorowej prawdy.

Przypuszczam, że tym razem sprawa przedstawiona jest wystarczająco jasno, wobec czego mam nadzieję, że — w myśl przyrzeczenia p. Milewskiego — wielkie rzesze czytelników mej pracy będą mi niewątpliwie wdzięczne.

Henryk Vogler (Kraków)

BŁĄD JĘZYKOWY
Do redaktora „Odrodzenia".

W „Kronice kulturalnej ZSRR" („Odrodzenie", nr 66) znalazł się przykry błąd językowy. Rosyjskie określenie **ran ropiejących** jako rany „gnojnyje" zostało żywcem przeniesione do polskiego tekstu, tak, że znalazła się w nim niespotykana w polskiej literaturze medycznej nazwa — „gnojne rany".

Przymiotnik „gnojny", pochodny od rzeczownika „gnój", jest — o ile mi wiadomo — rzadko używany, mimo, że był nazwą jednej z ulic starej Warszawy.

J. Zieliński (Bytom)

STOPNIE OFICERÓW SS
Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z opowiadaniem Jerzego Pytlakowskiego „Dwadzieścia cztery godziny śmierci" w nr 67 „Odrodzenia", pozwalam sobie przesłać następującą uwagę:

Stopnia „Scharfsturmführera" w SS nie było. Chodzi tu zapewne o „Sturmscharführera (-schar-, od Schar, drużyna, zastęp, a nie scharf- ostry). Jest to najwyższy stopień podoficerski, odpowiadający mniej więcej szarżą chorążemu w Wojsku Polskim, ale znacznie wyższy doniosłością. (Posiadał go np. Kriminalsekretär — stopień gestapowski — Treska, kierownik biura politycznego w K. L. Groß Rosen, obejmującym kilkadziesiąt tysięcy więźniów).

Wszystkie stopnie podoficerskie SS miały składnik „schar"; oficerskie na tym miejscu „sturm" (najniższy stopień oficerski SS, odpowiadający hierachicznie podporucznikowi — „Untersturmführer").

Zwracam na to uwagę dlatego, że znajomość hitlerowskiej organizacji i hierarchii jest u nas — jak to wykazują liczne drukowane wspomnienia — bardzo niedoskonała. A jest to ważne choćby już tylko dla sędziów, którzy jednego czy drugiego „führera" sądzić będą.

Jednocześnie niech mi wolno będzie wyrazić podziw dla autora opowiadania za jego niefałszowany realizm. Nie tylko jako młody adept pióra, ale i jako b. ofiara podobnych, choć oczywiście nieporównanie mniej groźnych, gestapowskich wyczynów — mogę to w pełni ocenić.

Andrzej Józef Kamiński (Poznań)

WYJAŚNIENIE
Do redaktora „Odrodzenia"

W nr 65 „Odrodzenia" z dnia 24. II. r. b. pojawił się artykuł pt. „Kronika kulturalna ZSRR. Orientalistyka", w którym m. in. jest mowa o moim wykładzie na posiedzeniu Moskiewskiej grupy Instytutu Wschodoznawczego w Leningradzie, w czerwcu 1945 r. Wykład mój, wygłoszony po polsku, został już w „Wiestniku" Akademii Nauk nr 7—8 (1945) nie całkiem dokładnie streszczony, a jego skrót w „Odrodzeniu" przyniósł dalsze nieścisłości, wymagające sprostowania.

Autorem sławnej gramatyki tureckiej i słownika tureckiego z XVII i XVIII wieku był nie Mienicki, lecz Franciszek Mesgnien Meninski, zadomowiony w Polsce Lotaryńczyk (1623—1698). Nie można powiedzieć, że „polscy orientaliści w XIX wieku wychodzili głównie ze szkoły petersburskiej"; tak nigdy nie twierdziłem. Jedynie przedstawiając rzecz wobec słuchaczy rosyjskich zwróciłem uwagę głównie na tę grupę orientalistów polskich, która ich mogła najbardziej interesować. Nie zapomniałem przy tym dodać nazwisk Aleksandra Chodźki, Wojciecha Kazimierskiego, Ignacego Pietraszewskiego, którzy działali na Zachodzie.

Wymienieni dalej: Józef Kowalewski (nie O. Kowalewskij), Józef Sękowski (nie Sienkowskij), Antoni Machliński i August Żaba (nie Żab) byli Polakami i tylko jeden z nich J. Sękowski zruszczył się i zerwał związki ze społeczeństwem polskim. Znakomity mongolista Władysław Kotwicz był od r. 1923 profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i położył niepożyte zasługi w dziedzinie organizowania orientalistyki polskiej.

W wykładzie moim starałem się uwydatnić fakt, że w orientalistyce może więcej niż w którejkolwiek innej dziedzinie wiedzy stosunki między nauką polską a rosyjską zawiązały się bardzo dawno ku obopólnej korzyści.

Tadeusz Kowalski (Kraków)

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia"

Jerzy Bober: W roku 1944 napisałem powieść pt. „Przekwitanie nocy", którą mam zamiar w najbliższym czasie wydać. Miała to być próba przekroju społecznego podczas okupacji od r. 1939 do 1944, oparta na tle autentycznego zdarzenia. W czasie pisania zmieniłem jednak pierwotny plan, ukazując na zwężonym nieco wycinku życia „Generalnego Gubernatorstwa" postawę tylko kilku charakterów. Powieść jest oparta na przeżyciach oficera, jeńca zwolnionego przypadkowo z obozu w Niemczech. Obecnie poprawiam ją jeszcze i uzupełniam, dążąc do pewnych eliminacji w konstrukcji całości.

Poza tym przygotowuję zbiór opowiadań wojennych. Interesuje mnie jako temat do dłuższego opowiadania problem ziem zachodnich.

Zamierzam napisać powieść z września 1939, obrazującą przeżycia uciekającej przed Niemcami ludności cywilnej. Chodzi mi tutaj o uwypuklenie na małym odcinku czasu przezwyciężania tych wszystkich pojęć, które przez dwadzieścia lat niepodległości jak najsilniej zrosły się z psychiką przeciętnego Polaka.

Roman Bratny: Wydaję tom nowel wojennych „Ślad". Mam gotowe do druku: poemat epicki „Losy", tom liryków wojennych, szereg sztuk dramatycznych. Wykańczam, „niepodległy" już, tom poetycki. Krąg tematyczny i formalny naszej poezji powojennej uważam za żenujący, to dopinguje pasję pisarską.

Co z tego wyniknie, zobaczymy, o ile znajdzie się nakładca. Obecnie wykańczam eksperymentalną „komedię krytyczno-literacką", oraz pisane wspólnie z Witoldem Zalewskim opowiadanie.

Potem zabieram się do opracowania naszkicowanego w niewoli popowstaniowej studium o młodym pokoleniu inteligenckich „aktywistów" z lat wojny pt.: „Rozstrzelanie Hamleta".

Stefan Flukowski: Noszę się z zamiarem wydania cyklu dramatów napisanych w obozie pod wspólnym tytułem „Horyzont Afrodyty". Mam nawet gotową już do tego przedmowę.

Po ukończeniu późną jesienią przeróbki „Jajka Kolumba" powróciłem do rozpoczętego jeszcze w lecie r. ub. pomysłu sztuki opartej o pewne historyczne wydarzenie z przeszłości Krakowa i Polski jednocześnie. Zbyt jednak mało posunąłem się w pracy, aby coś obszerniejszego na ten temat powiedzieć. Chciałbym poza tym utrwalić pewne wydarzenia i sylwety ludzi, którzy wyszli ze świata wydającego się zagasać, ale których dzieło trwa, albo jest jeszcze pełne obietnic na przyszłość.

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że tęsknię za przekładaniem dalej książek Ramuza. Niestety, te co miałem poginęły, zaś przypadkowo tylko ocalałe „Hommages à Ramuz" wydane z okazji 60-lecia wielkiego pisarza, pozwoliły mi dopaść jego essayu „Exemple de Cézanne" i przełożyć go dla „Przeglądu Artystycznego". Szczególnie daje mi się we znaki brak jego powieści „Beauté sur la terre". W gruzach warszawskich ocalał maszynopis prawie całego jej przekładu pt.: „Gdy piękność zagości na ziemi". Mało brakuje, a rzecz mogłaby być skończona.

Jan Dobraczyński: 1) Wydaję w tej chwili kilka książek. Na pierwszy ogień idzie „W rozwalonym domu", powieść napisana w ciągu ostatniego roku, częściowo w niemieckiej niewoli, częściowo już po powrocie do kraju. Jest to powieść na tle powstania warszawskiego — jej akcja toczy się w ciągu 24 godzin na Starówce. Oprócz tej, ostatnio napisanej książki, wydaję: powieść historyczną „Dwa stosy" (Hus i Joanna d'Arc), powieść „Szata godowa" — krótki szkic na tle września 1939 r. (napisany na gorąco w pierwszych miesiącach wojny), oraz powieść „Mocarz" — o św. Andrzeju Boboli, napisaną w 1940 r. Robię starania o wystawienie sztuki historycznej „Przedziwo Jolanty" (Bł. Jolanta — król Przemysław), pisanej aż trzykrotnie: raz przed wojną, drugi raz, po zniszczeniu pierwszego rękopisu w pierwszych latach wojny, wreszcie trzeci raz przed samym powstaniem.

2) Obecnie wykańczam i częściowo przepracowuję dużą powieść wojenną „Najeźdźcy", pisaną w latach 1940—1944 — rodzaj epopei, obejmujący dzieje ostatniej wojny od dnia jej wybuchu aż po odwrót Niemców z Rosji. Poza tym szkicuję kilka nowel.

3) Jeżeli chodzi o moje plany na najbliższą przyszłość, to nie sięgają one zbyt daleko. Chciałbym wydać moją twórczość wojenną, napisać jeszcze wspomniany tom nowel, być może opracować literacko moje wspomnienia z powstania i z niewoli i — niechby to było ostatecznym pożegnaniem z atmosferą wojny. Chciałbym móc pozwolić sobie wtedy na dłuższy odpoczynek. A co będzie dalej? Nie wiem. Chyba historia. Jeżeli jednak historia, to najprawdopodobniej czasy bardzo dawne, I wiek, epoka św. Pawła...

Stanisław Helsztyński: Wchodzę w rok 1946 z nadzieją, że może uda mi się doprowadzić do skutku parę publikacji. Co prawda, reportaże zgrupowane w broszurze „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego", utknęły w drukarni Starogardu nad Iną już od pięciu miesięcy. Wojewódzki Urząd Informacji i Propagandy w Koszalinie powziął ambitny zamiar drukowania tej pierwszej książki u siebie w Starogardzie, ale jak dotąd nie zdołał pokonać piętrzących się trudności, zwłaszcza braku papieru. Zamierza z tą premierą wystąpić w kwietniu.

Zagwożdżony też mam obfity materiał w książce niedrukowanej, napisanej w czasie wojny, zatytułowanej „Ameryka Roosevelta", obrazującej sytuację literacką, kulturalną, polityczną, ekonomiczną USA w XX wieku. Z dwudziestu rozdziałów 5 poświęconych jest sprawom Polonii amerykańskiej, dziś dla nas bardzo aktualnym. Ponieważ wydawca wojenny nie zgłasza się od półtora roku ze zrealizowaniem warunków umowy, być może straciwszy maszynopis w spalonej Warszawie, zawiadamiam go tą drogą, że w miesiąc po wydrukowaniu tego oświadczenia będę uważał umowę za wygasłą, wszczynając rozmowy z inną firmą.

Zdaję sobie sprawę, że nie będzie mi łatwo znaleźć wydawcę dla 2 tomów poświęconych poezji amerykańskiej XX wieku. Pierwszy to „Poeci USA", essaye i przekłady Vachela Lindsaya, Carla Sandburga, Edwina Arlingtona, Robinsona, Roberta Frosta, oraz 50 mniejszych autorów. Reprezentują oni ideały demokracji, o którą toczyły się obie wojny światowe. Drugi tom zawiera wstęp i tłumaczenie całej „Spoon River Anthology" Edgara Lee Mastersa. Polski tytuł: „Na grobku na cmentarzu w Spoon River". Rzecz znamionująca revival poezji amerykańskiej od 1914, rozpowszechniona w Ameryce w milionach egzemplarzy, tłumaczona na wiele języków europejskich. Szczera, prosta, demokratyczna, przystępna dla szarego człowieka z ulicy poezja.

Obecnie moje usiłowania anglistyczne kierują się ku zagadnieniom socjalnym, ustrojowym, kulturologicznym, religijnym, oraz jak zawsze literackim społeczeństwa angielskiego od czasów najdawniejszych do dni dzisiejszych. Przeznaczam na te zagadnienia najbliższe lata intensywnej lektury i wykładów.

W tym stanie rzeczy przygotowywanie tekstów oryginalnych dla „Biblioteki autorów anglo-amerykańskich" w wydaniu Trzaski, Everta i Michalskiego, wykonywane kolegialnie, nosi dla mnie charakter tylko peryferyjny, dla szkół jednak konieczny.

Jako odpowiednik studiów anglistycznych, wydanych w przededniu wojny, w r. 1939, w zbiorze „Od Szekspira do Joyce'a", przygotowałem essaye polskie z dziedziny niezależnej wolnej myśli na początku XX wieku u nas w kraju. Zbiór zatytułowany: „Meteory Młodej Polski" przyniesie sylwetki takie, jak: Antoni Wysłouch-Szech, ksiądz Szandlerowski, Andrzej Niemojewski i świeccy bibliości polscy, Theresita, Jan August Kisielewski i — last not least — St. Przybyszewski i jego córka Stanisława. O tym pisarzu wchodzi do książki szkic syntetyczny, napisany w czasie wojny dla projektowanego wyboru pism. Ze zbiorem tym zamyślam zwrócić się do którejś z większych firm wydawniczych.

Nawiasem mówiąc działalność Przybyszewskiego jako redaktora socjalistycznej „Gazety Robotniczej" w Berlinie w r. 1892 omawiam w broszurze, zarezerwowanej dla firmy wydawniczej „Wiedza" w Warszawie.

„Biblioteka Ziem Odzyskanych", której cele i zadania wyłuszczyłem ramowo w „Odrodzeniu" nr 54, rozwija się pomyślnie. Z końcem kwietnia ukażą się 2 pierwsze tomiki. Piętnaście dalszych jest w aprobacie, trzydzieści w opracowaniu. Liczne grono profesorów, uczonych, literatów zgłosiło interesujące tematy z dziedziny historii, dziejów kultury, geografii, krajoznawstwa, etnologii, literatury, obyczajowości i obrzędów Ziem Odzyskanych. Raz wraz przychodzą wartościowe rękopisy do projektowanej serii.

O bieżącym stanie tych prac napiszę osobno w „Odrze", która rejestruje skwapliwie wydawnictwa dotyczące Ziem Odzyskanych.

Maksymilian T. Huber: Wydaję obecnie pierwszą książkę z przygotowanej podczas wojny serii: „Wykłady w Politechnice Lwowskiej i Warszawskiej", pt. „Mechanika ogólna i techniczna". Dalsze w toku. Do nich należy „Stereomechanika techniczna" (dawniej „Wytrzymałość materiałów") i „Dynamika" (pomyślana jako podręcznik dla wyższych szkół technicznych).

Gotowa do druku jest „Teoria sprężystości", oraz parę prac badawczych, teoretycznych, wykonanych podczas wojny.

Planuję przede wszystkim zrekonstruowanie tekstu rękopisu najobszerniejszego, zniszczonego w Warszawie przez Niemców i „szabrowników", pt.: „Mechanika techniczna ciał stałych" („Stereomechanika techniczna"), który między innymi obejmował większość mego 50-letniego dorobku naukowego rozproszonego w periodykach polskich i zagranicznych i innych publikacjach naukowych.

Gabriel Karski: Podczas powstania uległ zupełnemu zniszczeniu rękopis ukończonej powieści i sztuki teatralnej oraz przygotowanego już do druku zbiorowego tomu poezji (część wierszy udało mi się odnaleźć bądź też odtworzyć), oprócz tego zaś rękopis całkowicie wykończonego przekładu ogromnej powieści Guy de Pourtales „Cudowny połów" (La Pêche miraculeuse) i tegoż autora „Żywot Franciszka Liszta". Ocalał natomiast (gdyż dostarczono mi duplikat) maszynopis przekładu powieści Max Dalreaux „Kulisy zacnego żywota".

Ta właśnie książka powinna się wkrótce ukazać w wydaniu jednej z firm warszawskich.

Z prac oryginalnych mam na warsztacie dłuższą nowelę osnutą na przeżyciach z okresu okupacji. Oprócz tego usiłuję powrócić do tematu powieści, której rękopis przepadł. Jest to powieść współczesna pt.: „Dyletant". Obecnie wprowadzam tam znaczne zmiany w porównaniu z dawnym tekstem.

Poza tym trochę (niewiele) wierszy lirycznych oraz przekłady z liryki francuskiej i rosyjskiej (niestety, bardzo jest wciąż trudno o oryginały).

Maria Krzetuska: Spoglądam z uśmiechem na tytuł, jaki noszą odpowiedzi na ankietę: „W pracowniach"... W obecnej chwili nie rozporządzam nawet stołem, nie mówiąc (ani marząc) nawet o własnym pokoju. Toteż dalszy ciąg mojej odpowiedzi brzmi niepokojąco buńczucznie.

Mam w wydawnictwie „Czytelnik" zbiór bajek poetyckich dla dzieci, który ewentualnie wydam. Jednak ostateczne rozmowy przeprowadzę dopiero w najbliższym czasie. Tom poezji pt.: „Salwa o świcie" mógłby być już wydany i sądzę, że jeszcze w tym roku ujrzy on światło dzienne. Wiersze z tego zbioru były drukowane w czasopismach i recytowane przed mikrofonem. Obecnie pracuję nad drugim tomem poezji, który będzie prawdopodobnie nosił tytuł „Godzina poznania". Tom ten wypełnić ma wyłącznie liryka refleksyjna. Również i z tego zbiorku wiersze były recytowane i drukowane — między innymi jeden pt.: „Czytam wiersz" w „Odrodzeniu". Prócz tego mam rozpoczętą następną książkę z wierszykami dla dzieci i powieść dla chłopców. Moje plany pisarskie są bardzo szerokie, jednak realizacja ich natrafia na poważne przeszkody natury czysto technicznej. Jak już wspomniałam, nie mam mieszkania i błąkam się z maszyną z kąta w kąt. Zważywszy, że pracuję jeszcze i to dość ciężko, zarobkowo (Polskie Radio) — sprawa tułaczki, do której zdążyliśmy się może i przyzwyczaić i na pozór tylko błaha — urasta do rozmiarów niemal tragedii i wytrąca mnie z równowagi i tak dosyć już niepokojem lat minionych — zachwianej.

Sądzę jednak, że po pokonaniu trudności będę mogła wiele rzeczy spokojnie przemyśleć i następnie realnie przeprowadzić.

Na razie wypowiadam się chętniej w wierszu, jako formie zawsze bardzo mi bliskiej, jednak nie wykluczam zwrotu do prozy — przed wojną jeszcze zarzuconej. Nie zadowalała mnie jej forma. Nie wiem też, czy pozostanę przy pisaniu dla dzieci — raczej nie. Ale to są właśnie sprawy, które wymagają spokojnego rozpatrzenia przy systematycznej i poważnej ciągłości pracy.

Zygmunt Leśnodorski: Obecnie opracowuję studium o elementach mieszczańskich w teatrze polskim w epoce oświecenia. Będzie to dalsza część, wydanej w roku 1936 publikacji pt. „Miasta i mieszczanie w powieści stanisławowskiej". Poza tym zamierzam kontynuować rozpoczętą jeszcze przed wojną pracę o „Teatrze Słowackiego", zawierającą m. in. omówienie ważniejszych inscenizacyj dramatów tego poety. W czasie okupacji napisałem książkę o życiu artystyczno-kulturalnym Krakowa w okresie międzywojennego dwudziestolecia oraz szereg szkiców literacko-krytycznych, np. o wpływach literackich na muzykę Karola Szymanowskiego. Prace te są gotowe do druku.

Witold Zechenter: Po zamknięciu w zbiorze „Strzępy okupacji", który ukazał się z końcem ub. r. nakładem S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie, okresu lat 1939—1945 w wierszach, pracuję obecnie nad cyklem zamykającym ten okres w noweli i opowiadaniu. W najbliższym czasie ukaże się nakładem księgarni Jaroszewskiego w Krakowie dłuższe opowiadanie z tej serii pt.: „Wilk z partyzantki". Ostatnio uzupełniłem i doprowadziłem do bieżących dni pracę wykonaną podczas okupacji dla księgarni Stefana Kamińskiego w Krakowie — „Słownik literacki", będący encyklopedią wyrazów, zwrotów i nazw wchodzących w zakres historii i teorii literatury. Jak i ten rękopis, czeka również na wydanie u S. A. Krzyżanowskiego mój przekład „Serca" Amicisa. W opracowaniu graficznym znajdują się w Księgarni M. Kota w Krakowie dwie moje bajki dla najmłodszych, które w miarę możliwości drukarskich ujrzą wkrótce światło dzienne, jak również opracowany ostatnio przeze mnie dla Wydawnictwa Książek Popularnych cykl kilkunastu bajek dla dzieci, osnutych wprawdzie na powszechnie znanych motywach ludowych, andersenowskich czy grimmowskich, jednak całkowicie przetworzonych, zaktualizowanych i oczyszczonych z czarownic, morderstw, tortur itp. elementów, dotychczas — niestety — będących lekturą „odpowiednią dla dzieci". Rękopis książki dla dzieci „Zaczarowane lusterko", będącej dłuższym zbiorem bajek, wierszy i opowiadań wierszem, znajduje się w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Poszukuję wydawcy na dość obszerny zbiór fraszek, satyr i parodyj, będący przerobionym, uzupełnionym i do bieżących dni doprowadzonym nowym wydaniem przedwojennej książki „Guzy dla muzy", od dawna całkowicie wyczerpanej. Gdybym znalazł wydawcę, również wydałbym chętnie wybór z mych czterech przedwojennych zbiorów wierszy, także od dłuższego czasu całkowicie wyczerpanych.

*) Por. odpowiedzi na ankietę w nr 68 i 69 „Odrodzenia".

Z doliny głodu w dzień dzisiejszy

Michał Rusinek

Michał Rusinek. Z barykady w dolinę głodu. Kraków,. Wydawnictwo „Przełom", 1946; str. 223 i 1 nl.

Pamiętamy dobrze głęboki wstrząs, jaki w umysłach i uczuciach społeczeństwa polskiego wywarły pierwsze, przed rokiem w prasie drukowane wiadomości, odsłaniające do dna metody hitlerowskiego barbarzyństwa. Dla tysięcy czytelników naga prawda więzień i obozów dopiero wtedy ukazała się w całym swym kształcie, tysiące szukało w niej potwierdzenia najczarniejszych domysłów co do losu „zmarłych śmiercią naturalną" ojców, mężów, dzieci, przyjaciół, — tysiące wreszcie mierzyło szanse powrotu przepadłych bez śladu ludzi przez porównanie tej prawdy z wątłą lub upartą rachubą nadziei. Niby wszystko było już wcześniej wiadome, a jednak z wciąż świeżą zgrozą czytało się opisy „fabryk śmierci", z wciąż nowym odrętwieniem oglądało się dokumentarne fotografie — blade odbitki zbrodni i szaleństwa. Może dlatego, że przedtem, za lat okupacji, instynkt bronił człowieka przed przyjęciem prawdy najgorszej. Osłaniał troskliwie tę jedną komórkę mózgu, w której tliła się reszta tragikomicznego nałogu: wiara w granicę zła, jakie człowiek może wyrządzić człowiekowi. Trzeba było hodować tę iskrę kłamstwa, jeśli się chciało przeżyć do jutra — i znowu do jutra — przez pięć lat. Ale potem odrzuciło się precz profilaktykę złudzeń. Chciało się **wiedzieć** i argumentem skończonej wiedzy przypieczętować prawo do nienawiści.

Wiedza owa wzbogacała się w ciągu pierwszych powojennych miesięcy o coraz to nowe relacje powracających do kraju więźniów, których dopiero ostatnie zwycięstwa sprzymierzonych armij uwolniły z obozów w głębi Niemiec, obozów odkrytych nieraz szczęśliwym trafem, bo doskonale zakonspirowanych.

Do tych najbardziej w drodze ku wolności zapóźnionych więźniów należał Michał Rusinek, przed wojną jeden ze znanych pisarzy, a w ostatnich wojny miesiącach, po upadku powstania Warszawy — jeden z tysięcy bezimiennych numerów w monstrualnym rachunku teutońskiego barbarzyństwa.

Jest rzeczą zrozumiałą, że pierwszą książkę powojenną poświęca pisarz sprawom sobie najbliższym, dobytym z najświeższych i najgłębiej przeżytych doświadczeń. Tytuł „Z barykady w dolinę głodu" jest zwięzłym streszczeniem dwóch pierwszych jej części. Część pierwsza, „Wąskie i czerwone Dunaje", odtwarza w sześciu fragmentarycznych obrazach utrwalony w pamięci autora obraz bohaterskiego zrywu i klęski Warszawy; część druga opowiada o losach wywiezionych po upadku powstania do Austrii Polaków, katowanych kolejno, w miarę kurczenia się frontu niemieckiego w „trzech obozach", z których ostatni, Ebensee, okazał się najstraszliwszą „doliną głodu". Część trzecia, „Między Ameryką a Polską" — to końcowy etap tych losów, od uwolnienia obozu przez czołgi amerykańskie do powrotu do Polski.

Zadanie, jakie sobie postawił autor, spisując swe wspomnienia, objaśnia we wstępie. Pisarz w swej książce „pragnie pokazać prawdę bolesną i nic więcej. Prawdziwe więc będą w niej wypadki i nawet nazwiska, nieprawdziwe może być tylko słowo autora wątłe i pewnie niedołężne, aby pokazać ludziom, którzy nie widzieli urywki dni na szczęście przepadłych ale godnych pamięci".

Taka ujmująca szczerość budzi szacunek i zachęca czytelnika do szczerości wzajemnej.

Otóż: gdyby ta książka ukazała się wówczas, kiedy poszczególne jej rozdziały po raz pierwszy pojawiły się w odcinkach czasopism, samokrytycyzm autora byłby niepotrzebny, bo „słowo wątłe i pewnie niedołężne" okazałoby się wystarczająco mocnym dla podparcia niewątpliwej jej prawdy. Dziś — nie ma już tej mocy.

Ten paradoksalny na pozór sąd, relatywizujący wartość słowa pisanego w zależności od tak niedługiego, kilkumiesięcznego zaledwie upływu czasu, okaże się słusznym, jeśli nazwiemy przesłanki, na których podstawie jako wniosek został postawiony. Pierwsza z tych przesłanek opowie o zmianach i przesunięciach, jakie w ciągu roku dokonały się w sposobie reagowania czytelnika na „literaturę wojenną", druga nazwie gatunek literacki książki Rusinka, decydujący o jej zmiennej i warunkowej sile działania.

Wznowione wydanie „Kraty" Gojawiczyńskiej i „Dymów nad Birkenau" Szmaglewskiej, jak również poczytność „Nocy" Andrzejewskiego świadczą, że chłonność społeczna, o ile chodzi o **prawdę** przebytych lat, trwa nadal. Trwa — ale w innej postaci. Działa teraz, odmiennie niż rok temu, pod progiem potocznej obserwacji. Rozgorączkowany czytelnik reportażów z Oświęcimia, namiętnie reagujący widz z wystawy „Majdanek" — kupuje obecnie w księgarni „Dymy" lub „Noc" i czyta uważnie, spokojnie w domu. Przeżywa inaczej. Proces psychosocjologiczny, jaki się dokonał, jest prosty: zainteresowanie osobnicze, „prywatne", jeśli tak rzec można, historią więzień i obozów uległo przesileniu. Z ostatnich szpalt dzienników znikła rubryka „Poszukują się wzajemnie". Kto przeżył — wrócił, lub dał znak życia. Druga, tragiczna alternatywa — to setki klepsydr na murach kościelnych i — do czasu — setki czarnych welonów i skrawków krepy na rękawach. Lecz oderwane, pojedyncze żałoby zrosły się w ogólną świadomość doznanej krzywdy narodowej. Zaczął się okres poszukiwań bardziej rozległych, aniżeli tamte, inseratowe — i pytań szerszych, już nie osobistych: o przyczyny burzy, która przeorała świat, o sens wszystkiego, co się stało. Także pragnienie wiedzy o ludzkim cierpieniu przesunęło się z zainteresowania losem sobie najbliższych na los człowieka czasu wojny w ogóle.

Ten proces jest naturalny i pocieszający: możność dystansu w stosunku do choroby świadczy o zdrowieniu. W tym wypadku świadczy o rekonwalescencji społecznej. Tu jest przyczyna powszechnego zwrotu od romantyzmu „przeżycia" ku światopoglądowej i politycznej dyskusji.

Z przeczucia linii rozwoju owego zdrowienia wyłoniła się również literacka dyskusja nad realizmem. Gdyż, cokolwiek się tym mianem określa, rozumie się m. in. to: typowość zjawisk ponad indywidualizowaniem; „powszechne", „wspólne" — ponad „poszczególnym" i „niepodobnym"; stąd też szukanie prawdy o człowieku i świecie przede wszystkim w obiektywnie danej, sprawdzalnej rzeczywistości zjawiska i faktu, a nie w rewelacjach „duchowej przygody".

Pisarz, który potrafi odpowiedzieć tym potrzebom, zdobędzie sobie nakaz słuchania. Tym większy oczywiście, jeśli umie przydać prawdzie rumieńców artystycznego piękna. W miarę wzrastania obiektywizującego dystansu do przeżyć minionych, wzrasta również u czytelnika wrażliwość na estetyczną jakość książki.

W ramach tych norm może pisarz w różny sposób, jeśli chodzi o formę, zaspokoić potrzeby społecznego sumienia czytelników. To: „jak" — pozwala przejść do drugiej przesłanki.

Książka Rusinka jest reportażem. Rodzaj ten narzuca konieczność „osobistego" zaangażowania się sprawozdawcy w treść opisywanych faktów. Otóż od stopnia tego zaangażowania się, od stosunku pomiędzy treścią podmiotową i przedmiotową zależało zawsze bardzo wiele, a w reportażu „wojennym" zależy nierównie więcej. Ten właśnie musi być jak najmniej osobisty, jak najmniej „przeżyciowy", jeśli chce podać prawdę wykraczającą poza zainteresowania jednej ulicy, jednego miasta, partykularza — i poza „aktualność" jednego tygodnia, miesiąca czy roku. Zdarzenia i przemiany były olbrzymie i powszechnie ważne — relacja o nich musi się z tą miarą liczyć. Nie chodzi, naturalnie, o wymiar wedle „ilości" ogarniętych narracją faktów, zdarzeń, ludzi. „Dymy nad Birkenau" mówią o jednym tylko obozie, lecz dobór obrazów i trudny do nazwania sposób pisarski sprawia, że mimo konkretność i określoność czasu i miejsca otrzymujemy wiedzę o „człowieku w obozie" w ogóle. wiedzę, która pozwala zrozumieć pełnię typowych zjawisk w odniesieniu do wszystkich obozów koncentracyjnych.

Tego książka Rusinka nie osiąga. „Z barykady w dolinę głodu" jest serią impresyj, dotyczących tego, co autor osobiście zaobserwował i przeżył w ciągu kilku miesięcy od jesieni 1944 do wiosny 1945. Czytelnik widzi pisarza, widzi otaczających go ludzi, ale jakby z oddali. Książka nie zmusza go do zapomnienia się, do współuczestnictwa w dziejących się wypadkach, do utożsamienia się z postaciami. Los tych ludzi, choć przejmujący, choć budzący żywy oddźwięk uczucia, jest jakoś zanadto „ich własny" i **tylko** ich własny. A poza tym — jest to los, który się dokonał, który **był.** To **było,** owi po imieniu nazwani ludzie cierpieli w Mauthausen, w Melk, w Ebensee. Lecz czytelnik nie traci świadomości, że czyta książkę, że czyta ją **teraz,** w swoim mieszkaniu w Krakowie, Lublinie lub w Warszawie. Nawet w Warszawie. Dlaczego? Bo „impresyjna" technika pisarska zamyka zawartość książki w obrębie jednego tylko, indywidualnego typu przeżywania, w zasięgu jednej tylko pary spostrzegających zjawiska oczu: przeżywania i oczu samego autora. Fragmentaryczność wybranych epizodów stwarza poza tym luki, których nie ma czym wypełnić. To, co zostało ukazane, demonstruje raczej niezwykłość, niż typowość faktów i sytuacyj, tym więcej, że każdy z tych wycinków życia podbarwia autor zbyt intensywnie liryzmem i podkreśla uczuciową pointą. W sumie — książka ani nie „wciąga" czytelnika w swą aurę, co bywa sukcesem dobrej prozy powieściowej, ani też — przez ów subiektywny liryzm — nie stanowi **dokumentu,** którym mogłaby być.

Stałaby się jednak krzywda, gdybym nie dodał, że powyższa uogólniająca charakterystyka nie dotyczy wszystkich jej kart. Niektóre rozdziały (np. „Czołgi w dolinie głodu") wstrząsają wymową nagich, nieupozowanych faktów.

Najżywszy jednak oddźwięk u czytającego budzi część ostatnia, mimo, że nie na nią padł zamierzony akcent. Mówi ona o blaskach i cieniach polskiego obozu więźniów w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Opowiada o perypetiach uwolnionych więźniów, uwikłanych w biurokratyzm nowych władz administracyjnych i wojskowych, które pomyślną początkowo sytuację Polaków zamieniły w tragikomiczny ciąg „zaostrzeń", towarzyszących więźniom jeszcze w transportowym pociągu, w drodze do Polski.

Ta partia książki najżywiej koresponduje z czytelnikiem. I znowu: dlaczego? Bo podejmuje zagadnienie żywotne, obchodzące wszystkich. Bo ilustruje niezrozumienie ogromu naszej krzywdy przez płytko „humanizującą" zagranicę: stawianie na tej samej płaszczyźnie uprawnień Polaka — więźnia politycznego i Niemca; poddanie Polaków pod władzę policyjną niemiecką, ukonstytuowaną z byłych SS-owców; litość dla „biednych Niemców" — i sroga kara dla Polaka, który z głodu ukradł kurę. Tak, tej części książki się nie zapomina, bo problem w niej ukazany jest problemem sprawiedliwości, do której mamy prawo.

Wspomniałem o „uniezwykleniu" epizodów, z których składa się książka Rusinka i o predylekcji do „lirycznej pointy". Cechy te wyraziły się swoiście w stylu i języku. Wtargnęły nawet do tytułów poszczególnych rozdziałów, zbyt felietonowych, zbyt „sensacyjnych". Oto kilka z nich, dla przykładu: „Ręce trzeba podnieść do góry", „Szukamy na niebie Warszawy", „Ten chłopiec nie ma w Polsce pomnika" (nawiasem mówiąc — jeden z najlepszych rozdziałów), „Polska leży na wschód od jeziora Ebensee", „Miasta mojego nie ma". Chwyt „tytułów zdaniowych", przetłumaczony na modę przedwojenną, to: „Grypa szaleje w Naprawie", „Ryby śpiewają w Ukajali" i t. p. Ale i w samym tekście nie stroni autor od łatwych efektów stylistycznych, zbyt tanich w porównaniu z ciężarem spraw, którym mają służyć. Jeden z nich polega na kojarzeniu we współrzędne gramatycznie zespoły nazw konkretnych przedmiotów czy zjawisk i pojęć oderwanych, — strawnym jako metafora w poezji — nieznośnym w prozie: „Dzień jest niepewny, oddycha zagadką dnia dzisiejszego i tajemnicą jutra". Równie często — userdeczniony liryzm: „Im głośniej słychać (artylerię sowiecką zza Wisły), tym serca głośniej biją, gdy cichną, przygasają i serca". Równie często — jedno i drugie: „Wionąca stęchłym chłodem brama pokrywa się mrokiem i złym przeczuciem. Głosy milkną, serca nadsłuchują. Pierwszy strzał Tygrysa zatrzęsie mrokiem i chłodem. Drugi rozbija resztkę nadziei, zahuczy schodami i bramą, dudni po czarnych szybach oficyny".

Przykłady wzięte zaraz z brzegu, z pierwszych stron. Dalej — podobnie i dość obficie

Powracam do tezy wstępnej: przed rokiem czytelnik nie potknąłby się o te, czy inne jeszcze właściwości stylu. Czytałby książkę z pasją pozaliteracką, pozaestetyczną — **dowiedzenia się,** jak tam było. Dziś — dowiedział się już wcześniej, w sposób mniej lub więcej dotkliwy. Czyta uważniej. Szuka prawdy, która nie poprzestaje na wspominaniu prawdy, która jak najpełniej wyjaśniając **minione** — tłumaczy również **teraźniejsze** i ukazuje drogę ku **przyszłemu.**

*

To już do „rzeczy" nie należy, lecz głęboko ludzki ton książki, współczująca postawa autora wobec zjawisk nędzy człowieczej ośmiela mnie do pewnej dygresji. Staruszka, o której autor wspomina na str. 213, płoszy nadal przechodniów w okolicach Krupniczej, śpiewając „wyszarzałe tanga sprzed dwudziestu lat i czekając na nieosiągalne złotówki". Nieosiągalne tym bardziej, że wyjątkowo dotkliwy głos śpiewaczki zmusza do omijania jej z daleka. Nie wie nawet, starowina, że „dostała się" do literatury. A choćby nawet wiedziała — to, jak się to mówi, „co jej z tego"? Gdyby właściwy urząd zechciał czynem zawtórować współczującemu słowu pisarza, dałby piękny przykład współpracy kulturalno-społecznej.

Wilhelm Mach

Ostatni wiersz Ginczanki

Ogłoszony w poprzednim numerze „Odrodzenia" wiersz Zuzanny Ginczanki, zaczynający się od słów: „Non omnis moriar" — to nie tylko oskarżające wyznanie zamordowanej poetki. Jest to w liryce polskiej najbardziej przejmujący głos o najokropniejszej tragedii naszych czasów: o męczeństwie Żydów. Tylko wiersze Jastruna, które są jak epitaphia na grób milionów, czynią podobne wrażenie, ale nawet one nie mają tej goryczy, ironii, jadu i mocy, nie dają tej brutalnej prawdy, co testament Ginczanki.

Nie mogę się otrząsnąć z tego wrażenia. Wiersz odczytaliśmy ze zmiętej i podartej kartki, zapisanej przez poetkę ołówkiem, z kartki jak gryps więzienny szyfrowanej w niebezpiecznym miejscu. Z litery ż. domyśleć się trzeba było przymiotnika: żydowskie. Rękopis wygląda na niewykończony brulion, potwierdza to przypuszczenie drugi zapisany wiersz, wyraźnie niedokształcony. Trzymając się rękopisu wydrukowaliśmy ostatnią linijkę wiersza tak, jak ją zapisała poetka, choć i wskaźnik rymu i parafrazowany tekst Słowackiego dowodzą, że zdanie to należało poprawić:

„I uskrzydlonych nagle w aniołów **przerobi".**

O pierwszym rzucie treści i nieoszlifowaniu utworu świadczy także zwrot: „o świcie brzasku" i wykolejony rytm w wierszu:

„Chmury **rozprutych** poduszek i obłoki pierzyn" (Tak w rękopisie, wydrukowano: „prutych").

Przypominam sobie najbardziej gorzkie wyznania i najbardziej straceńcze ostatnie słowa poetów. Żadne z nich nie dorównuje tej parafrazie najdumniejszych testamentów poetyckich. „Testament mój" Ginczanki obraca w niwecz pustą dumę artystowską, oskarża bestię ludzką i boli jak niezagojona rana.

Wstrząsający wiersz.

jp

THE BRITISH DIGEST

CO PISZE ANGLIA?

Pod takim tytułem ukazywać się będzie MIESIĘCZNIK W JĘZYKU POLSKIM pod redakcją

BIURA ANGIELSKIEGO MINISTERSTWA INFORMACJI I PROPAGANDY

Pierwszy numer ukaże się 5 kwietnia

W miesięczniku tym ukazywać się będą najlepsze i najciekawsze artykuły i publikacje ogłaszane w prasie angielskiej. Między innymi artykuły:

CHURCHILLA
TOMASZA MANNA
BEVINA
O'NEILLA
i in.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Składy główne:

WARSZAWA: Księgarnia Wolność, Marszałkowska 95
WARSZAWA-PRAGA: Księg. Światowid, Targowa 15
ŁÓDŹ: Główna Księgarnia Wojskowa, Piotrkowska 47
BYDGOSZCZ: Księg. Nauka, Aleja 1-go Maja L. 5
GDAŃSK-WRZESZCZ: Księgarnia A. Krawczyński
GDYNIA: Księgarnia W. Mężnicki, ul. 3 Maja 27/31
CZĘSTOCHOWA: Księgarnia „Czytelnik"
TORUŃ: Księgarnia Jan Wojciechowski
POZNAŃ: Księg. św. Wojciecha, Al. Marcinkowskiego 21
KATOWICE: Księgarnia, Szafranka 9
LUBLIN: Księg. Z. Budziszewski, Krak. Przedm. 29
KRAKÓW: Księg. Gebethnera i Wolffa, Rynek Gł.
WROCŁAW: Księgarnia, Kołłątaja 32
WŁOCŁAWEK: Księgarnia, Jan Koziński
KIELCE: Księgarnia A. Dąbrowiecki
RADOM: Księgarnia H. Lipiński
PIOTRKÓW: Księgarnia K. Kubik
BIAŁYSTOK: Księg. Spółdz. Ośw., Żwirki i Wigury 16

Parę uwag o „powieściach dla dorastających panienek"

Za szybą niejednej — szczęśliwie z pożogi wojennej ocalałej biblioteki — spoczywa wśród innych książek tom oprawny w czerwone płótno, ozdobiony złoceniami, drukowany staromodną, cienką czcionką, dziełko, przechowywane przez pietyzm, a wyśmiewane przez dzisiejsze podlotki. Tytuł? „Karolina", „Krystyna", lub „Pamiętnik Laury". Podtytuł? „Powieść dla dorastających panienek". Zawartość — przeznaczona dla dziewcząt z tzw. dobrych domów, dziewcząt żyjących od chwili uświadomienia sobie odrębności swej płci z nastawieniem na „zrobienie partii". Małżeństwo było jedyną stawką życiową; wygrana stanowiła klucz jeżeli nie do szczęścia, to przynajmniej do uzyskania swobody hamowanej domową edukacją, w razie przegranej — groził koszmar staropanieństwa i łaskawy chleb u krewnych. „Powieści dla dorastających panienek" zrodzone jeszcze z ducha osiemnastowiecznej mody francuskiej, zasilone później wpływem sentymentalnej powieści angielskiej, miały stanowić godziwą rozrywkę dla dziewcząt elity, miały wszczepiać ideały religijno-moralne, w rzeczywistości zaś pobudzały wyobraźnię niezdrową romansowością, niejednokrotnie kształciły fałszywą filantropię i wszczepiały — jak bohaterkom „Ślubów panieńskich" — wypaczone pojęcia o życiu.

Zdawać by się mogło, że zmiana stanowiska społecznego kobiety sprowadzi odnowienie problematyki w literaturze dla młodych dziewcząt. Niestety, tak się nie stało. Co prawda w okresie walczącej emancypacji — śladem „Marty" i „Emancypantek" podążyły nieliczne powieści dla dziewcząt, w których bohaterka, jak „Księżniczka" Urbanowskiej staje się pod wpływem pracy samodzielnym, wartościowym człowiekiem, nie były to jednak zdobycze trwałe. Ponad nurtem przemian społeczno-gospodarczych, które spłukiwały nalot przesądów i rozszerzały nie tylko zakres działania, lecz możliwości intelektualne i światopogląd kobiety — górą płynęła nadal niby warstwa mętnej piany — ckliwa „literatura dla młodych panienek", wygrywająca te same od lat motywy opuszczonej sieroty, wymarzonego rycerza i — po wielu romantycznych perypetiach — cichej przystani domowego ogniska. Przetoczył się kataklizm pierwszej wojny światowej, a pokolenie dziewcząt, które wśród huku armat ujrzało światło dzienne, karmiło się — nieraz pełną wdzięku, lecz jakże bezproduktywną lekturą. Były to: „Gwiazda przewodnia", „Słowik irlandzki", wszystkie urocze „Anie" z Zielonego wzgórza i Avonley, a także — o zgrozo! „Święta i jej błazen" Günthera i — chorobliwe melodramaty z życia szkolnego — Lidii Czarskiej. Czy możemy wykazać się jakimkolwiek wysiłkiem, zmierzającym do przeciwstawienia tej literaturze — naszej własnej pozbawionej niezdrowego sentymentalizmu i opartej o podłoże rzeczywistości społecznej? Niestety, nie. Dla dziewcząt młodszych poza kilkoma udanymi powieściami z życia szkolnego — niekończący się szereg „nawróceń" pod patronatem Marii Buyno-Arztowej i ks. Pasławskiego, zaś dla „dorastających panienek" opowieści w rodzaju: „Jutro będzie słońce" Marii Kann i „Córka kapitana okrętu" Marii Szczepańskiej — takie sobie milutkie książeczki, które młodociana czytelniczka pochłaniała łapczywie pomiędzy powieściami Della i Łuczyńskiej.

A teraz, po drugiej wojnie światowej, gdy dzisiejsze „dorastające panienki" może utraciły najbliższych, może same już walczyły o byt, a w najlepszym razie z notatkami w bucie biegały po tajnych kompletach, jakąż to przeznacza się dla nich lekturę? Oto wdzięczna książeczka w żółtej okładce, na której smukła panienka z walizeczką piastuje czarnookiego bachora. Maria Krüger: „Szkoła narzeczonych". (wyd. E. Kuthana). Nie chodzi tu broń Boże o to dziecko — pod tym względem książka jest bez zarzutu — bowiem bohaterka zostaje przypadkiem w trakcie samotnej podróży obarczona małym cyganiątkiem, co stwarza szereg zabawnych sytuacji. Nie chodzi tu także o fakt, że w powieści tej brak reminiscencji z niedawnej rzeczywistości wojennej, że odbywa się ona w jakimś czwartym, szczęśliwym wymiarze (w którym co prawda jest mowa o jakimś „dziewczęciu z Zachodu" i o Ministerstwie Oświaty, a nie W. R. i O. P., żeby trudniej było zgadnąć). Nie, to by nawet było dobre, niech dziewczęta zapomną trochę o wojnie. Wszyscy mamy jej dosyć, młodzi i starzy. Ale... jakiż to jest ten światek, w którym studiuje i przebywa kwiat naszej żeńskiej młodzieży? Jest to — szkoła gospodarcza, bliżej nieokreślona, nie wiadomo bowiem, czy wstępuje się do niej po małej maturze (bohaterka Marianna przybywa tam w wieku lat piętnastu), czy wystarczy szkoła powszechna? Zresztą mniejsza o to. Dziewczęta spędzają w tej szkole trzy lata, przygotowując się do roli szczęśliwych małżonek. Uczą się doić krowy, pielęgnować niemowlęta, a następnie „w poetycznym i gastronomicznym natchnieniu układać na półmiskach cuda z sałatek, szykować niezrównane galaretki i przyprawiać wytworne, subtelne w smaku sosy do zimnych mięs" (str. 100). W chwilach wolnych od pracy życie mają bardzo urozmaicone, bowiem w Szkole Narzeczonych odbywają się huczne bale, na które przybywają przedstawiciele high-life'u, a więc znana literatka („podobno bardzo elegancka, chciałabym ją poznać"), słynny lotnik („strasznie bym chciała z nim zatańczyć") itd. Wierny obraz wielkoświatowego życia sanacyjnej elity! Poza tym dziewczęta jeżdżą autobusem na wycieczki, np. do Nowego Targu na jarmark, gdzie upajają się egzotycznym pięknem podhalańskiego folkloru (dwojaczki, gliniane kogutki, serca z piernika itp. dekoracyjne cacka), kupują twarzowe chusteczki i kłócą się ząb za ząb o każdą złotówkę „biorąc przykład z naszego ludu, który pracowicie, w pocie czoła... (sic) targuje się przy sprzedaży" (str. 112). Jedna z bohaterek, wytworna, cudownie ubrana Jolanta, która „chce tańczyć na stole, kąpać się w szampanie, mieć ogoniastą suknię ze złotej lamy i breitszwancowy parasol" jest co prawda wyśmiewana przez swoje koleżanki, to jednak nie zmienia w niczym faktu, że mieszkanki Jagodnego są materiałem na lekkomyślne, wystrojone snobki, a w najlepszym razie na ograniczone żony o ptasim móżdżku, pozbawione nie tylko szeregu talentów, którymi słynęły ich prababki (np. robota koronek), lecz także — ich kultury. Wszystko to podane w swoistym sosie stylistycznym, naśladującym jakoby żartobliwą, pełną pozy manierę pensjonarek. Reasumując — książka, która nie powinna przejść **przez cenzurę społeczną.**

Dzisiaj, gdy przeprowadzamy rewizję w tylu dziedzinach życia, warto by się zastanowić nad celowością mnożenia nadal przypieczętowanych długowiecznym nawykiem egzaltowanych i oderwanych od życia „powieści dla dorastających panienek". Przeznaczone są one przeważnie dla dziewcząt w wieku lat 12—15, gdy świeżo rozbudzona wyobraźnia erotyczna domaga się pokarmu. Otóż ten okres uczuciowego rozkołysania należy tym bardziej wykorzystać w celu rozbudzenia miłości społecznej, rozdmuchania szlachetnych, bezinteresownych porywów, wykraczających poza czułostkowe marzenia. Zapewne, u dziewcząt bardziej wrażliwych nieunikniony jest okres uczuciowej egzaltacji, ale jeśli muszą się one karmić marzeniami o miłości, to już z dwojga złego lepiej patrzeć przez palce na sentymentalną lekturę Della, bowiem jest to świat tak nierealny, że aż podobny baśni, niż stwarzać lekturę przeznaczoną dla dziewcząt, w której brak kośćca społecznego wyrasta bliżej im znanej rzeczywistości i jest poniekąd usankcjonowany od strony pedagogicznej.

„Powieść dla dorastających panienek" winna zrzucić tę etykietkę zamykającą ją w ciasnych ramach określonej płci. Dlaczego tylko o dziewczętach, dlaczego tylko dla dziewcząt? Właśnie ten ekskluzywizm stwarza zakłamanie, rodzi zgubny nałóg mówienia o pewnych sprawach w kategoriach uproszczonych, poprzez idealistyczną mgiełkę, która odbiera żywotnym dla młodych zagadnieniom ich prawdziwy sens, ich walor społeczny. Czyż problematyka współżycia obu płci w dziedzinie nauki, sportu, pracy społecznej, nie opiera się na podstawach zdrowszych? Czyż interesującej, atrakcyjnej fabuły nie można prześwietlić szlachetnym humanitaryzmem, ideą społeczną, jąk czyniła to niezapomniana Halina Górska? Czyż nie czas nareszcie, by powieść dla młodzieży młodszej czy starszej, męskiej czy żeńskiej przekształciła się z nędznego surogatu literatury — w prawdziwą twórczość?

Krystyna Kuliczkowska

Arab z XII w. o Polsce

Polska Akademia Umiejętności. Prace Komisji Orientalistycznej nr 34. **Tadeusz Lewicki** Polska i kraje sąsiednie w świetle „Księgi Rogera" geografa arabskiego z XII w. Al - Idrisiego. Część I. (Uwagi ogólne, tekst arabski, tłumaczenie). Kraków, Polska Akademia Umiejętności, 1945; str. 6 nl i 144 i 32 numeracji arabskiej.

W chwili, gdy autor znajdował się jeszcze w obozie jeńców, pracę jego wydał znakomity arabista polski prof. Tadeusz Kowalski. Jest to wstępna część kapitalnej rozprawy poświęconej tzw. „Księdze Rogera", która jest niewątpliwie najważniejszym dziełem geograficznym i kartograficznym późniejszego średniowiecza, dochowanym do naszych czasów. Powstało ono w latach 1139—1154, a autorem jego jest Abu 'Abd Allah Muhammad ibn 'Abd Allah ibn Idris al-Hammudi, czyli krócej Muhammad al Idrisi, z przydomkiem as-Sakali, „Sycylijczyk".

Arab ten w prostej linii jakoby potomek samego Alego, zięcia Proroka, liczący wśród swoich antenatów uzurpatora -- kalifa w Kordobie, zwerbowany został przez króla Rogera II na dwór sycylijski w Palermo, który błyszczał w tym czasie bogactwem materialnym i kulturą islamu. Roger II otaczał sprawy kultury troskliwą opieką, w związku ze swoimi planami politycznymi. Jeśli chodzi o zainteresowania naukowe, to szczególną uwagę poświęcał geografii, zwłaszcza że i sam uprawiał ją z pasją. Był nie tylko inicjatorem, lecz także współpracował nad dziełem Al Idrisiego „Księgi rozrywki tego, który chce przebiec świat", inaczej „Kitab Ruggar" („Księgi Rogera").

Rezultatem wieloletniego trudu wysoko urodzonego i bardzo uczonego Araba była planisfera wygrawirowana na srebrnym dysku wagi 150 kilogramów i około dwóch metrów średnicy, dwie edycje geografii ówczesnego świata (z których druga zaginęła) i atlas dołączony do niej, złożony z 70 map specjalnych i jednej ogólnej. Atlas ten był przeróbką wspomnianej mapy planisferycznej. Tekst jest obszernym, systematycznym komentarzem do map, a przedmowa posłużyła Al Idrisiemu do nakreślenia historii samego dzieła i wykładu wiadomości z zakresu ogólnej geografii.

„Księga Rogera" stanowi w dziedzinie geografii doniosłą pozycję jako pierwsza w wiekach średnich zakrojona na wielką skalę próba rewizji geografii i powiązania geografii opisowej z matematyczną. Mimo wielu braków i błędów oraz nierównego poziomu przedstawia ona sumę wiedzy geograficznej XII wieku i wartość historycznego źródła. „Specjalnie interesujące są bardzo dokładne i wierne opisy krajów europejskich, które przewyższają pod względem obfitości materiału oraz oryginalności wszystkie niemal starsze opisy autorów zachodnich czy arabskich. Opisy te są tak mistrzowskie, jak pozwalały na to ówczesne warunki i ówczesne możliwości pracy naukowej" — stwierdza Tadeusz Lewicki.

We wzorowym, pod względem metodycznym, opracowaniu przedstawia T. Lewicki żywo nakreśloną sylwetkę Al - Idrisiego na tle sycylijskiego środowiska naukowego, genezę i opis dzieła (występuje w nim do 7 tysięcy nazw miejscowości!) oraz źródła, z których korzystał autor (należy do nich pośrednio również wielkiej doniosłości dla historii Polski relacja Ibrahima ibn Ahmad at Turtusi, którego prof. Kowalski ostatnio zidentyfikował z Ibrahimem ben Jakub al - Isra'ili at - Turtusi), wszystkie pochodzące z wieków X i XI, wreszcie charakterystykę dzieła, jego wpływ na literaturę geograficzną oraz rękopisy i wydania.

Pierwsze tzw. medycejskie kompendium pochodzi z roku 1592. W ćwierć tysiąclecia później A. Jaubert ogłosił je w przekładzie francuskim (1836—40), który mimo wielu niedostatków był pobudką do licznych prac geograficzno-historycznych, m. in. trzeciego tomu świetnej „Géographie du moyen âge" Lelewela. Prócz tego jest dużo wydań częściowych, opartych na pogłębionej wiedzy arabistycznej oraz badaniach geograficzno - historycznych, dotyczących poszczególnych rozdziałów „Księgi Rogera".

Takim właśnie klasycznym wydaniem, ze stanowiska metody, jest wydanie przygotowane przez T. Lewickiego, który podjął się trudu zbadania opisu Europy środkowej i wschodniej u Idrisiego. W ten sposób orientalistyka polska spełniłaby ambitne zadanie wypełnienia luki, która pozostała dotąd mimo stu lat pracy uczonych nad rozwikłaniem zagadek zawartych w „Księdze rozrywki tego, który chce przebiec świat"

Lewicki publikuje trzecią i urywek czwartej sekcji szóstego „klimatu", na które Idrisi podzielił swój „opis krajów, zewnętrzny wygląd ludności, ich ozdób i odzienia, dróg komunikacyjnych według ich długości w milach i parasangach i dziwów ich krajów zaobserwowanych przez podróżników... oraz sprawdzonych przez autorów". Sekcje owe dotyczą Słowacji, Czech (?), Węgier, Polski (kraj Bulun (i) ia), Saksonii, Serbii i Karyntii oraz Rusi. Wydawca podaje tekst arabski i przekład polski pokonując rozliczne i wielkie trudności paleograficzne i transkrypcyjne.

Jeżeli ogłoszenie źródłowego tekstu o doniosłym znaczeniu dla naszych badań nad epoką wczesnohistoryczną pobudzi bez wątpienia do prac naukowych, główne zainteresowanie skupia się na drugiej części studium T. Lewickiego, ocalałej w rękopisie we Lwowie, której rychły druk zapowiada prof. Kowalski. Zawiera ona toponimię mapy „Księgi Rogera", jej podobiznę i komentarz toponomastyczny, jest zatem pierwszym po badaniach Lelewela wyczerpującym rozbiorem informacyj podanych przez Araba o Polsce.

Wypada zaznaczyć, że z wymienionych przez Araba miast bez trudu rozpoznać Kraków, Gniezno, prawdopodobnie Wrocław (— tisla-ha) i Przemyśl (— ram (i) ski), Sandomierz, z rzek San i mylnie w Polsce umieszczoną Cisę. „Jest to kraj — opowiada Idrisi — o pięknej ziemi, urodzajny, obfitujący w źródła, w rzeki o ciągnących się bez przerwy prowincjach i dużych miastach, bogaty we wsie i domostwa". Czytając to przypominamy sobie dosyć podobną charakterystykę u tzw. Galla. „Wszystkie one — ciągnie Arab o miastach — są sławnymi stolicami i silnymi centrami, w których zebrane są dostatki rozmaitych krajów. Rzemieślnicy ich są zręczni i obznajomieni ze swymi zawodami...".

Nie bez podstaw wypowiadano przypuszczenie, że to co pisał Gall-Anonim o miastach i ulicach za czasów Bolesława, nie koniecznie jest brednią lub przesadą, a nadto sprymityzowany obraz ówczesnej Polski winien raczej ulec korekturze, oczywiście oględnej. Nie łatwo też przejść do porządku nad informacją „Księgi Rogera", że Polska „jest krajem wiedzy i mędrców rumijskich", a miasta „zażywają szacunku, ponieważ (przebywają) w nich uczeni wykształceni w dziedzinach nauk i religii rumijskiej".

Z radością należy powitać pierwszą po wojnie naukową publikację Akademii Umiejętności z dziedziny orientalistyki i z niecierpliwością oczekiwać drugiej części pracy T. Lewickiego o Al-Idrisim.

Józef Sieradzki

Z życia koncertowego w Krakowie

Piątkowy koncert w Filharmonii w dn. 22. III. przyniósł nam program beethovenowski, w którym najpoważniejszą pozycją była „Eroica", dawno nie grana w Krakowie, pod batutą **Bierdiajewa.** O ile ujęcie pierwszej części było raczej konwencjonalne, mało przekonywające i nie wydobyło tytanicznych akcentów, tkwiących w tym dziele, o tyle w drugiej podkreślono trafnie wiele szczegółów, a ostatnia część utrzymana była w stylu prawdziwie beethovenowskim. Orkiestra miała jeden ze swoich lepszych dni; także i uwertura „Lenora" nie pozostawiała w ogólnym ujęciu i w precyzji wykonania zasadniczo nic do życzenia. Solistą tego koncertu był młody pianista, **Jan Bereżyński,** który odegrał z towarzyszeniem orkiestry Beethovena Koncert c-dur. Bereżyński jest poważnym muzykiem o dużych możliwościach wykonawczych; grę jego cechuje absolutny brak efekciarstwa i nienaganne opanowanie rzemiosła pianistycznego, umiar klasyczny i pięknie wykończona, logicznie przeprowadzona fraza. Pewne zastrzeżenia budził zbyt mały, jak gdyby za nikły dźwięk fortepianu (który wystarczał przy bardzo pięknym wykonaniu bisu mozartowskiego), nie wyczuwało się dość silnie tego czegoś nieuchwytnego, co można by nazwać „perspektywą w głąb", tego wewnętrznego skupienia, charakteryzującego atmosferę tego utworu.

Na Poranku niedzielnym w dn. 24. III. dyrygował **B. Lewandowski** „Patetyczną" Czajkowskiego (które z rzędu wykonanie w bieżącym sezonie?!) i uwerturę Beethovena „Egmont". Ujęcie zasadniczo poprawne (poza zbytnim przewlekaniem tempa w niektórych ustępach powolnych) było jednak absolutnie nieinteresujące, często (część pierwsza „Patetycznej") powierzchowne i sztywne, nie wydobywające z kompozycji jej wewnętrznej treści emocjonalnej. **L. Finze** odśpiewał (w ramach tego — znowu jakże bardzo niejednolitego programu) dwie arie ze „Strasznego Dworu" i z „Halki". Jest to niewątpliwie w obecnej chwili jeden z naszych najpiękniejszych głosów, pełny, jasny, wyrównany w brzmieniu tenor, śpiewający muzykalnie, który czuje się najlepiej w szerokiej kantylenie; szkoda, że pewne maniery, jak podciąganie wysokości z jednego dźwięku na drugi, a nawet czasem głośne przydechy — nie do pomyślenia zwłaszcza na estradzie — psują dodatnie wrażenie całości.

W sali konserwatorium wystąpili ze wspólnym recitalem goście z Lublina: **Aleksander Wielhorski** i **M. Kelles-Krausowa.** Koncert tego typu w zasadzie uznać należy za nieporozumienie: program (zajmujący dla każdego z artystów połowę recitalu) szczupły, nie dający możliwości jakiejś określonej linii, składający się przeważnie z drobiazgów, nie daje satysfakcji artystycznej. Mieliśmy tego dowód na Kelles-Krausowej, która właściwie dopiero w ostatnich numerach pozbyła się paraliżującej tremy. Al. Wielhorski jest pianistą, u którego muzyk przerasta prawdopodobnie wykonawcę. Jego rzemiosło pianistyczne nie wystarcza do pełnego opanowania utworów włączonych do programu; dotyczy to zarówno samej techniki, jak i rodzaju dźwięku. W programie tym, którego układ świadczył o dążeniu do pewnej stylistycznej jednolitości, znalazły się też i własne kompozycje Wielhorskiego, które, mimo ładnego czasem brzmienia harmonicznego, nie zdołały bliżej zainteresować, wpadając zbyt często w nutę salonową. O sztuce wykonawczej M. Kelles-Krausowej trudno coś bliższego powiedzieć na podstawie tego programu. Pokazała dobry materiał głosowy, brzmiący nawet z dużą siłą w wysokim registrze, ostro w najwyższym, ale jej technika, skierowana jakby na ustawiczne przezwyciężanie czysto fizjologicznych oporów, powoduje częste detonowanie i silną wibrację. Utrudnia to artystce wszelkie zamierzenia interpretacyjne, zwłaszcza tam, gdzie musi operować kantyleną, nie pozwala przeprowadzić linii melodycznej w jej całości, zaokrąglić frazy. Jedynie tam, gdzie udało jej się wpaść w lżejszy ton recytatywny, osiągnęła lepsze wyniki (Poulence!).

W dziale upowszechnienia muzyki dokonują się w tej chwili bardzo ciekawe eksperymenty w **Państwowej Szkole Umuzykalnienia** w Krakowie. Nazywam to eksperymentem, gdyż wszystko, co robi się teraz dla uświadomienia muzycznego laików i ujęcia tego w jakieś ramy metodyczne, jest u nas bez precedensów, bez tradycji i jakichkolwiek wzorów, na których można by się oprzeć. Plan, wypracowany przez Krakowską Szkołę Umuzykalnienia, polega na stopniowym kształceniu wyobraźni i pamięci muzycznej w ujmowaniu wyobrażeń dźwiękowych i specyficznie muzycznej prawidłowości ich rozwoju, co w konsekwencji doprowadzić ma do zrozumienia formy muzycznej słuchanego utworu. Wprowadzono tam dla tych celów **lekcje słuchania muzyki** i to lekcje o dwojakim charakterze: jedne na wewnętrzny użytek Szkoły i przeznaczone wyłącznie dla uczniów, drugie — publiczne — do których dostęp mają prócz uczniów wszyscy interesujący się muzyką. Wstęp jest bezpłatny, frekwencja olbrzymia, zainteresowanie niezwykle żywe. Ostatnie lekcje publiczne, prowadzone przez prof. dr **Reissa,** mgr. **Rudzińskiego** i dr **Łobaczewską,** przy udziale najwybitniejszych solistów, spełniających rolę ilustratorów (**Biliń-ska-Riegerowa, Bieńkowska, Kopaczyńska, Ottawowa, Strzemiński, Wiskida, Wysocka-Ochlewska** i in.) wykazały, że obecna metoda jest trafna i celowa: słuchacze zaczynają orientować się już w podawanym im materiale, dają dobre odpowiedzi, potrafią określić nie tylko ogólne zarysy formalne utworu, ale nawet charakter poszczególnych motywów, jednym słowem, uczą się słuchać świadomie i zdawać sobie sprawę z tego, co słyszą. Przy tej sposobności „przemycają" wykładowcy w sposób przystępny cały szereg wiadomości z zakresu teorii i historii muzyki, wykład staje się żywy, interesujący i z czasem może przynieść przy systematycznym prowadzeniu ogromne korzyści. Eksperyment więc jest — zdaje się — w całości udały. Wychowanie nowego, uświadomionego słuchacza, które tak niedawno jeszcze wydawało się mitem, staje się dziś radosną rzeczywistością.

Stefania Łobaczewska

Prapremiera w Bydgoszczy

W teatrze bydgoskim odbyła się prapremiera komedii Adama Grzymały Siedleckiego pt. „Ludzie są ludźmi".

Nowa sztuka przenosi widza w środowisko mieszczańskiej inteligencji u schyłku drugiej niepodległości. Utwór nie ma jednolitego wątku dramatycznego. Autor usiłuje oddać bezpośredni proces życia, a każda postać ukazana jest jedynie wyrywkowo. Stąd brak powiązań istotnych, tak niezbędnych w utworze scenicznym.

Grzymała-Siedlecki nie trudzi się o ocenę rzeczywistości, ukazuje ją po prostu taką jaka jest, a swój zmysł realistyczny, który posiada, używa dla celów bezinteresownej zabawy. Autor zdaje się nie dostrzegać w toczącym się procesie życia nieprawidłowości. W każdym razie nie demaskuje jej wyraźnie. Ostrze jego satyrycznego humoru i dowcipu w tym kierunku szczególnie jest tępe i kruche. Uważny widz w demonstrowanym hałaśliwym życiu może dojrzeć jego skrzywienia i przerosty jedynie na marginesie akcji, a więc w daremnych marzeniach o nauce w konserwatorium biednej Luni, — w rozpaczliwym czepianiu się protekcji przez zdolnego kandydata na inżyniera Swarygę — w „beztroskim Henryczku", szukającym pocieszenia w hazardzie i kieliszku i wreszcie w całym tym obrazie „zaczarowanego koła", kręcącego się z adoracją wokół monumentalnej postaci inżyniera-wynalazcy Szylonga, człowieka o szerokich stosunkach i dużych możliwościach materialnych. Cały ten negatyw nosi jednak charakter fragmentaryczny lub rozpływa się w atmosferze pobłażliwej wyrozumiałości.

Istotnym przedmiotem zainteresowania autora staje się namiętna i burzliwa egzaltacja sentymentalno-erotyczna, zdolna do niespodzianek i akrobacji psychologicznej. I właśnie na tę egzaltację miłosną patrzy twórca komedii „Ludzie są ludźmi" ze skupioną powagą i niebywałym szacunkiem. Nie ośmiela się „kalać" ironią sanktuarium Amora. Przeciwnie — w nim widzi cel literackiego przedsięwzięcia.

Autor zrezygnował z zamiaru dania komedii społeczno-obyczajowej na rzecz wyłącznie psychologicznej, osnutej na tle „ogólnoludzkich" konfliktów, u których źródeł leży sentymentalizm.

Patrząc na to, trudno nam zgodzić się z przewodnią sentencją autora, że „ludzie są ludźmi", sentencją, która w intencji autora sugeruje myśl o ślepych siłach i pobudkach kierujących wolą człowieka — o prymacie instynktu nad władzą rozumu. To ojcowskie spojrzenie jest równoznaczne z cofnięciem się przed rozwiązaniem problemu „zaczarowanego koła". Bierna maksyma „ludzie są ludźmi" pomija istotę zagadnienia i kończy sztukę sceptycznym wygłosem.

W zakresie formy jasny i inteligentny dialog, język soczysty i barwny oraz przejrzysta ekspozycja świadczą o rutynie literackiej.

Sztuka pod względem scenicznym opracowana jest z pedanterią i sumiennością. Reżyseria Strzeleckiego dobra. W kreacji poszczególnych postaci na wyjątkową uwagę zasługuje gra **Niczewskiej**, która w roli rozegzaltowanej miłością Konstancji stworzyła typ żywy i plastyczny. **Guttner** (Henryczek) dał kilka kapitalnych epizodów świadczących o dobrym wyczuciu zawartości psychicznej mieszczańskiego filistra. **Wielicz** w roli Andrzeja trafnie uderzał w ton jego burzliwych przeżyć, wstrząsów i załamań. **Bracki** (Szylong) ujmował taktem i powagą. **Strzałkowski** natomiast jako gimnazjalista (Witek) nie uniknął we fragmentach akcji przesady i sztucznej deklamacji. Dekoracje **Muszyńskiego** staranne.

Aleksander Dzienisiuk

Sztuka Iwaszkiewicza w Toruniu

Autor „Lata w Nohant" i „Maskarady" napisał nową sztukę sceniczną, zatytułowaną „Stara cegielnia". Trzeci to już w dorobku dramatopisarskim utwór Jarosława Iwaszkiewicza, wystawiony na scenach polskich.

Tytuł sztuki znany nam skądinąd. „Stara cegielnia" ukazała się jako nowela w „Twórczości" i wzbudziła żywe zainteresowanie, co skłoniło autora do przeobleczenia jej w szatę utworu scenicznego.

Temat sztuki stanowi wegetacja „szarych ludzi" pod okupacją niemiecką. Autor, jak zawsze powściągliwy w sposobie wyrażania wzruszeń i daleki od retoryki i moralizatorstwa, daje syntetyczny przekrój ruchu oporu z dni okupacji, przedstawia realistyczny obraz światka podwarszawskiego z fatalnego okresu minionej wojny.

Sztuka jest niemal boleśnie realistyczna, rozwiązuje w sposób prawie brutalny problem winy i kary w odniesieniu do jednostki i społeczności ludzkiej, daje szereg ostro zarysowanych typów psychologicznych, ukazuje nagą prawdę życiową, a jednak dominuje w niej typowy liryzm Iwaszkiewicza-poety.

Akcja sztuki toczy się w sierpniu 1943 roku, w starej cegielni pod Pruszkowem, w której poczciwy stróż Antoni ukrywa rannego partyzanta Karola. Rannym opiekuje się wisus nad wisusy, Jasio Gałązka. Jednooki złodziejaszek Wacek Mielczarski, zakochany w pretensjonalnej szwaczce Klaruni, staje się pośrednio denuncjantem Karola, którego z niskich pobudek zemsty i chciwości wydaje w ręce niemieckie żona stróża Elwira, dama lekkich obyczajów. Ale tenże Wacek ułatwia Karolowi ucieczkę i w jego obronie ginie od kul żandarmów, pokutując tym samym za swe winy i dając dowód bohaterstwa.

Iwaszkiewicz, operując półtonami, unika barw jaskrawych, zdecydowanych; każe słuchaczowi samemu odpowiadać na liczne niedomówienia. Przedstawia więc typ inteligenta, który załamał się psychicznie i w swej rezygnacji niezdolny jest do jakiegokolwiek własnowolnego czynu. Inny typ — to człowiek „z nizin" ze złamaną egzystencją, który za cel swego życia uważa obowiązek wspomagania innych. Typ egoistki to praczka, która córkę swą zamierza wydać za nauczyciela, będącego pełnym uosobieniem oportunizmu. Złote serce, animusz, zdrowie moralne i tężyzna fizyczna znajduje wyraz w osobie nieletniego Jasia. Złodziej Wacek reprezentuje aktywność życiową w przeciwieństwie do wykończonego inteligenta Karola.

Po scenach napięcia dramatycznego następują w sztuce epizody i momenty humorystyczne, które wnoszą do realistycznego obrazu szarzyzny życiowej ton odprężenia i wywołują uśmiech na twarzy widza.

Dobrze postawione postaci, jędrny język, komizm słowny i sytuacyjny, umiejętne stopniowanie napięcia dramatycznego i na tle tragedii szarego życia przedstawiona idea poświęcenia i bohaterstwa, oto zalety tej sztuki, która na prapremierze publiczność toruńska przyjęła niezwykle serdecznie.

Sztukę wystawiono i zagrano bardzo starannie. Z wykonawców na specjalne wyróżnienie zasługują: **T. Fijewski** (Jasio Gałązka), **Z. Szymański** (Wacek), **A. Gajdecki** (Antoni) **Z. Molska** (praczka Gałązkowa) i **Detkowska-Jasińska** (Elwira). Reżyseria spoczywała w ręku **Józefa Maślińskiego**, który wykazał dużo wyczucia scenicznego i pomysłowości. Oryginalne, realistyczne dekoracje sceniczne skomponował **L. Torwirt.**

*

Była to już trzecia z rzędu prapremiera w Teatrze Ziemi Pomorskiej, od chwili reaktywowania sceny toruńskiej w czerwcu 1945 roku.

W kilka dni po prapremierze przybył autor do Torunia i jako widz zjawił się w loży na przedstawieniu „Starej cegielni". Nazajutrz na scenie Teatru Ziemi Pomorskiej zgromadzili się członkowie zespołu aktorskiego i technicznego oraz przedstawiciele toruńskich sfer literacko-artystycznych, by wysłuchać pogadanki Iwaszkiewicza o życiu teatralnym Paryża.

Znakomity autor w sposób barwny przedstawił rozwój czasopiśmiennictwa, literatury i dramatu w powojennej Francji, walczącej z trudnymi warunkami gospodarczymi, nie rezygnującej jednak ze swych potrzeb kulturalnych, które wyżej ceni od zdobywanego z trudem czarnego chleba. 40 teatrów paryskich gra sztuki przeważnie z dawnego repertuaru, a miejsca w teatrze wyprzedane są naprzód już na tygodnie, a nawet na miesiące.

Mieczysław Dereżyński

Jak przyznano nagrodę literacką Krakowa?

Miejska Rada Narodowa m. Krakowa uchwaliła coroczne przyznawanie nagród literackich za wybitną twórczość w zakresie poezji, dramatu i powieści. W roku bieżącym nagroda miała być przyznana za twórczość poetycką.

Statut przewidywał nagrodzenie utworów poetyckich opublikowanych w książce za okres trzech ostatnich lat. Do jury powołano: przedstawiciela Zarządu Miejskiego, którym był wiceprezydent miasta inż. Tor, przedstawicieli komisji Kultury i Sztuki Miejskiej Rady Narodowej w osobach: dr A. Bara, R. Szydłowskiego i red. M. Stattera, przedstawiciela świata nauki w osobie doc. dr K. Wyki i przedstawiciela krakowskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich — którym był, na mocy uchwały Zarządu — niżej podpisany. Jury składało się zatem z sześciu osób, przy czym, w myśl regulaminu, w razie równej ilości głosów przeważyć miał głos przewodniczącego, w tym wypadku wiceprezydenta inż. Tora.

Już podczas pierwszego zebrania członków jury, na którym uchwalono regulamin obrad, rozważano prawdopodobne kandydatury. Wzięto pod uwagę te tomy poezji, które obejmują całość dotychczasowego dorobku poetów, wydane na przestrzeni ostatnich lat, lub inne, wybitne książkowe publikacje poetyckie. Wysunięto wówczas nazwiska: J. Przybosia, Cz. Miłosza i Zb. Bieńkowskiego. W celu gruntownego poznania dorobku poetyckiego zarówno wspomnianych poetów, jak i poetów innych — postanowiono odbyć właściwe zebranie dla przyznania nagrody po upływie dwu tygodni, czyli 19 marca br.

Na zebraniu tym zgodzono się przeprowadzić najpierw głosowanie próbne, a potem dyskusję w związku z wysuniętymi kandydaturami. W próbnym głosowaniu, które w myśl regulaminu odbywało się w sposób tajny, większość głosów padła na Czesława Miłosza. W toku dyskusji wysunięto nową kandydaturę: Władysława Broniewskiego. Dyskutowano więc na temat trzech poetów: Przybosia, Miłosza i Broniewskiego. Główne przemówienia wygłosili: K. Wyka i J. Zawieyski, którzy analizowali i porównywali twórczość wspomnianych poetów, zwłaszcza twórczość Przybosia i Miłosza.

W wypowiedziach podkreślono, że twórczość Przybosia zasługuje na wyróżnienie ze względu na wybitne osiągnięcia artystyczne i na jej znaczenie dla kultury poetyckiej w Polsce. Trudna i oryginalna twórczość Przybosia wyraża od wielu lat walkę poety o nowy wyraz poetyckiego kształtowania rzeczywistości. Na tej drodze Przyboś jest konsekwentny i jednolity, zdobywa dla poezji nieznane dotąd środki wyrazu, jest twórczy, jasno określony, bezkompromisowy. Tom Przybosia „Miejsce na Ziemi" jest dokumentem największych ambicji poetyckich, stanowi zarazem obraz rozwojowy przeszło dwudziestoletniej działalności poety. Wpływ Przybosia na młodą twórczość poetycką w Polsce jest duży i trwały. Zasługi poety leżą nie tylko w jego własnych zdobyczach artystycznych, ale i w wielkim oddziaływaniu na twórczość poetycką w ogóle.

Poezja Miłosza jest niewątpliwie zjawiskiem wybitnym. W tomie ‚Ocalenie" znajdują się utwory wielkiego znaczenia artystycznego. Lecz twórczość Miłosza jest w stadium ciągłych poszukiwań i odkryć, i choć daje rzeczy o niepospolitej piękności — nie jest dokonaniem takiego znaczenia artystycznego i kulturalnego, jak poezja Przybosia. Przez twórczość Miłosza przebiega silny nurt filozoficzny, który niejednokrotnie, w ostatnich zwłaszcza utworach, zniża się ku publicystyce. Ten nurt filozoficzny wyraża się w postawie sceptycznej, którą poeta usiłuje przezwyciężyć, aby dojść do realizmu i naiwnej konstatacji świata. Środki artystyczne Miłosza stanowią o bogactwie jego możliwości, od stylizowanej prostoty, lub tradycyjnej zwrotki do wyrafinowanej rozlewności obrazowej i metaforycznej. Nierówny i wielokształtny obraz twórczości Miłosza jest zjawiskiem ciekawym i wartościowym, lecz odejmuje tej poezji jej jednolitość, jej wagę i ciężar w sensie poetyckim i kulturalnym. Cechy te posiada w wybitnym stopniu poezja Przybosia i z tych względów poeta Julian Przyboś zasługuje na wyróżnienie. Co do poezji Władysława Broniewskiego, to — nie odmawiając jej wartości artystycznych i społecznych — nie wytrzymuje ona porównania z poezją Przybosia, czy Miłosza.

Po krótkiej dyskusji przystąpiono do właściwego głosowania, w którym Przyboś otrzymał trzy głosy, Miłosz 2, Broniewski 1. Według brzmienia regulaminu nagrodę uzyskuje kandydat, który otrzymał **bezwzględną** większość głosów. W tym wypadku Przyboś otrzymał tylko zwykłą większość. Zarządzono następne głosowanie, — i wtedy Przyboś uzyskał 4 głosy, Miłosz — 2. Przewodniczący oświadczył, że Julian Przyboś otrzymał **bezwzględną** ilość głosów i że w ten sposób przypada mu nagroda za tom pt. „Miejsce na Ziemi".

Dodajmy od siebie, że miasto Kraków, przyznając pierwszą nagrodę literacką Julianowi Przybosiowi, ustala w ten sposób wysoki poziom oceny i wymagań co ma duże znaczenie wychowawcze i kulturalne.

Jerzy Zawieyski

Rosyjska czytanka

Natalia Lasota. Sbornik russkich litieraturnych tiekstów dla naczalnych i srednich szkoł. Czytanka rosyjska zatwierdzona przez Ministerstwo Oświaty jako książka pomocnicza do nauki języka rosyjskiego w szkołach. Kraków, „Wiedza — Zawód — Kultura", 1946; str. 94 i 2 nl.

Choć rozmiary antologii-czytanki są skromne, jednak w wytrawnym wyborze ukazano urywki świetnej prozy i perły poezji rosyjskiej XIX i XX wieku. Z prozatorów są m. i. Uszynskij, Lew Tołstoj, Czechow, Szyszkow, Gogol, Gorkij, z poetów Puszkin, Surikow, Kryłow, Lermontow, Niekrasow, z nowszych Majakowski, z współczesnych Marszak, Simonow, Lebiediew-Kumacz (poezja wojenna) i Dołmatowski („Berlin 2 maja"). Celowość doboru ze stanowiska treści również ściśle utrzymana. W tekście wprowadzono akcenty z wielkim pożytkiem dydaktyczno-językowym. Bardzo starannie ułożony słowniczek, opracowany przez Wiktora Jakubowskiego, zajmuje połowę książeczki. Słowniczek polega na rosyjskim słowniku języka rosyjskiego, zredagowanym w latach tuż przed wojną przez grupę radzieckich językoznawców pod kierunkiem prof. D. Uszakowa. Czy jednak Jakubowski nie komplikuje pisowni rosyjskiej, niedostępnej początkującym uczniom w nadmiernie zróżnicowanych odcieniach?

Można by upomnieć się o najtreściwsze informacje dotyczące autorów, uwzględnionych w czytance. Jako pierwsza dla wprowadzonej do szkół nauki języka rosyjskiego, przedstawia ona poważną wartość użytkową.

js

Ofiara własnej wyobraźni

W „Gazecie Ludowej" (nr 56) Wiktor Bazylewski zabierając głos w sprawie Stefanii Rudnickiej opowiada zmyśloną historyjkę o tym, jak pozbył się tej chłopki nachodzącej redakcję „Gazety Lubelskiej". Podrzucił ją rzekomo „Odrodzeniu", za co redaktor Kuryluk — fantazjuje Bazylewski — groził mu „sankcjami fizycznymi". „Odrodzenie" z kolei miało przekazać kłopotliwą poetkę redakcji „Wsi" Wszystko to działo się w fantazji dawnego współpracownika „Gazety Lubelskiej". Rudnicka ani razu nie trafiła do „Odrodzenia" i nikt jej z naszej redakcji do „Wsi" nie posyłał.

p

W TYCH DNIACH UKAŻE SIĘ
NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH
*
MICHAŁ SZOŁOCHOW
CICHY DON
TRZY CZĘŚCI TOMU PIERWSZEGO
UKAZYWAĆ SIĘ BĘDĄ
W ODSTĘPACH DZIESIĘCIODNIOWYCH
CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

JUŻ W NAJBLIŻSZYCH DNIACH
UKAŻE SIĘ
NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH
*
NINA ASSORODOBRAJ
POCZĄTKI KLASY ROBOTNICZEJ
CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„CZYTELNIK"

KRONIKA KULTURALNA ZSRR

Czasopismo „Leningrad". W ostatnich kilku numerach (13—18) czasopisma „Leningrad" prozatorzy I. Erenburg, K. Paustowski, J. German, L. Rakowski i poeci N. Tichonow, A. Prokofiew, A. Achmatowa, poświęcają swe utwory tradycjom Leningradu, jego epopei wojennej i obecnemu życiu. Wśród wspomnień o poległych bohaterskich obrońcach miasta znalazło się też wspomnienie o malarzu G. Pietrowie, uczestniku walk w Hiszpanii, który w czasie wojny z Niemcami był szeregowcem. Pietrow był utalentowanym grafikiem, ilustratorem Lermontowa i Tynianowa, w czasie wojny zaś malował obrazy batalistyczne z walk marynarzy bałtyckich. Grafikiem był również I. Bilibin, który wybił się też jako dekorator. Jego prace z dziedziny grafiki książkowej cieszyły się wzięciem we Francji, Czechosłowacji i Polsce. Bilibin zmarł w czasie oblężenia Leningradu.

W czasopiśmie tym znajdują się przekłady tragedyj Szekspira dokonane przez B. Pasternaka, „Boskiej komedii" Dantego — M. Łozińskiego oraz „Pieśni filaretów" Mickiewicza i „Strof o późnym lecie" Tuwima, M. Asiejewa. E. Tarlé, autor monografii o Napoleonie i wojnie krymskiej, pisze o swej nowej pracy poświęconej admirałowi Uszakowowi. Prof. W. Szczerbaczew mówi o pozytywnym stosunku rosyjskich kompozytorów Bałakirewa, Liadowa, a także Rachmaninowa i Skriabina do Chopina i pisze m. in.: „Chopin jest realistą. Naród, jego nieszczęścia i radości, stanowiły zasadniczą ‚naturę' malowanych przezeń, pełnych ognia płócien. Lecz Chopin jest również romantykiem. Tragiczny los ojczyzny i płomienne marzenia o jej wielkości i wolności — oto podstawowe tematy jego twórczego życia. Tragedia ojczyzny jest jego osobistą tragedią". Artykuł kończy się stwierdzeniem, że obecnie, gdy odrodzona Polska ma przed sobą drogę najpomyślniejszego rozwoju, „marzenia Chopina ziściły się".

Temat leningradzki. 900 dni oblężenia Leningradu i jego świetna obrona znalazły już silny i wielostronny wyraz w literaturze radzieckiej. Należą tu N. Tichonowa lakoniczne „Opowiadania leningradzkie", „Leningradzki rok", felietony I. Erenburga, „Dziennik leningradzki" i wiersze O. Bergolc, poezje i pamiętniki Wiery Imber, „Blokada" Z. Szyszowej, wiersze M. Prokofiewa i M. Dudina, marynarza Czerwonej Floty, A. Lebiediewa i in. Najsilniej wyraził się ów temat w opowiadaniu (Paustowski, Kawierin, Nikitin, Kietlińska, która zakończyła niedawno nową powieść o oblężeniu miasta). Poczytna jest też powieść A. Czakowskiego „Było to w Leningradzie", a Michał Zoszczenko, mistrz noweli, dał zbiór nowel pt. „Leningradzcy partyzanci".

Blokada miasta jest popularnym tematem dla dramatu. W samej Moskwie idzie obecnie sześć sztuk, których akcja toczy się w oblężonym Leningradzie. Trzy z nich wystawił Teatr Kameralny. W. Wiszniewskiego dramat „U ścian Leningradu" i tegoż autora (wraz z A. Kronem i W. Azarowem) komedia muzyczna „Rozlało się morze szeroko", O. Bergolc i G. Makogonienki „Wierne serca", A. Krona „Oficer floty" są sztukami dawniejszymi, do których doszły nowe, wystawione przez studium im. Stanisławskiego i teatr im. Jermołowej: „Wielkie nadzieje" W. Kawierina i „Starzy przyjaciele". L. Maliugina.

Rocznica uwolnienia Leningradu od oblężenia obchodzona jest 27 stycznia.

Jubileusze Dostojewskiego. Chcąc uczcić aktualne obecnie rocznice, związane z życiem i twórczością Fiedora Dostojewskiego, radzieckie koła literackie przygotowują się do obchodu: 60-lecia śmierci, 125-lecia urodzin i 100-lecia pierwszej jego powieści „Biedni ludzie". Głosy zachwytu, jakie podniosły się po ukazaniu się tej powieści — krytyka Bielińskiego i poety Niekrasowa, obwieściły całej Rosji, że „urodził się nowy Gogol". Historii owej powieści i jej wpływowi na literaturę światową zostanie poświęcona specjalna sesja naukowa Instytutu Literatury Akademii Nauk, powieść zaś ukaże się w osobnym, bogato ilustrowanym wydaniu.

Dzieła Dostojewskiego wydawane były niejednokrotnie w okresie radzieckim. Wkrótce też ukaże się tom powieści i opowiadań w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy w Moskwie, w Leningradzie zaś pełne wydanie pism Dostojewskiego w 10 tomach. Niedługo przed wojną wyszły specjalne tomy materiałów archiwalnych, poświęcone rękopisom i wariantom brulionów powieści „Bracia Karamazow", „Idiota" oraz „Wina i kara".

W Moskwie otwarto muzeum w mieszkaniu pisarza w jednym ze skrzydeł byłego szpitala maryjskiego, w którym ojciec jego był lekarzem, a w którym Dostojewski urodził się. Zawiera ono z górą 1000 eksponatów. Inscenizacje jego dzieł weszły do repertuaru teatru rosyjskiego, a to „Braci Karamazowych" i in. Planowane są też nowe inscenizacje: „Idioty" w reżyserii Tatrowa i „Winy i kary", pod kierownictwem Zawadzkiego.

Pierwszy tom Tuwima po rosyjsku. W najbliższym czasie ukaże się na półkach księgarskich tom wybranych poezyj Juliana Tuwima w przekładzie rosyjskim. Z dziesięciu tomów utworów poety, napisanych przez niego w ciągu 25 lat, wybrano wiersze obrazujące rozwój twórczości od „Czyhania na Boga" aż do „Kwiatów polskich". Przekładu dokonali m. in. N. Asiejew, M. Gołodnyj, W. Dinnik, M. Zienkiewicz, S. Marszak, S. Michałkow, S. Kirsanow, L. Pieńkowski, E. Połonska, M. Swietłow, I. Selwinski, A. Surkow, M. Szechter. Z innych tłumaczy Tuwima na język rosyjski wymienić należy O. Rumera, W. Lewika, S. Krzyżanowskiego, L. Szyffersa, T. Znamierowską i J. Abyzowa. Redaktorem tomu jest M. Żywow.

Nowy balet w Wielkim Teatrze ZSRR. Pierwsze miejsce w balecie rosyjskim, a prawdopodobnie i w światowym, zajmuje moskiewski Wielki Teatr. Ostatnio wystawił on nowy balet radzieckiego kompozytora S. Prokofiewa „Zołuszka" (libretto N. Wołkowa, reżyseria R. Zacharowa). „Zołuszka" jest bajką o Kopciuszku, który przeistacza się w księżniczkę. Czysta miłość Zołuszki i księcia przezwycięża wszystkie przeszkody. Wystawiona przez Zacharowa „Zołuszka" jest baletem — feerią, w której obok tańca i muzyki wiele miejsca zajmują dekoracje, efekty świetlne i kostiumy, dzieło artysty P. Wiliamsa. W głównych rolach występują dwie pary mistrzów radzieckiej choreografii G. Ulianowa i W. Preobrażeński oraz S. Lepieszynska i S. Gabowicz. Tłem i oprawą dla solistów jest znakomity balet Wielkiego Teatru.

Nowe książki o teatrze. Moskiewskie wydawnictwo „Iskustwo" (Sztuka) wydało podczas wojny ponad 200 książek o teatrze, a w ostatnim czasie ukazał się szereg nowych publikacyj z tej dziedziny. — B. Alpersa „Sztuka aktorska w Rosji" nawiązuje do realistycznych tradycyj sceny rosyjskiej w portretach słynnych aktorów XIX wieku: Jakowlewa, Siemienowej, Moczałowa, Karatygina, Szczepkina. Ilustrowany album „Rosyjski kostium historyczny na scenie" zawiera szkice i fotografie narodowych strojów różnych epok i stanów z objaśnieniami historyka sztuki N. Gilarowskiej. Ostatnio wydano w nakładzie ponad 100 tysięcy egzemplarzy dwie prace Stanisławskiego „Moje życie w sztuce" i „Praca aktora nad sobą". Z materiałów archiwalnych po Stanisławskim wydano notatki Stanisławskiego w związku z inscenizacją tragedii Szekspira „Otello". Wyszły drukiem obszerne wspomnienia A. Jużyna-Sumbatowa, jednego z filarów moskiewskiego Małego Teatru na przełomie XIX i XX w., „rycerza teatru romantycznego". Prof. P. Nowicki kreśli artystyczno-krytyczne „Obrazy aktorów" radzieckiej sceny. II tom „Rocznika moskiewskiego teatru artystycznego" poświęcony jest jego pracy w latach wojny. W serii popularnych monografij o znakomitszych aktorach ukazały się opracowania o Szczepkinie, Sosnickim, Sadowskim, Jermołowej. Z nowych wydań sztuk klasycznego repertuaru zwracają uwagę przekłady tragedyj Szekspira „Hamleta", „Otella", „Romea i Julii", „Antoniusza i Kleopatry" i sztuki popularnego rosyjskiego dramaturga Ostrowskiego, oraz jego książka „O teatrze", zbiór artykułów, dzienników i notatek. Eksperymentalne laboratorium sceniczne moskiewskiego teatru artystycznego wydało serię około 50 książek o zagadnieniach techniki scenicznej, bogato ilustrowanych. Traktują one o efektach dźwiękowych, dekoracjach, efektach świetlnych itd.

js

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.—Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 06294 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".